

Jankowski Zbigniew

Khatarsis

KRUCJATA

"I nadejdą, których moc ogromna będzie i słowa śmiercią spowite.

I zamilkną, kiedy tak im rozkaże Mas'taraj.

A kiedy w cieniu Rot'hu narodzi się Kir'ma,

nie będzie dnia następnego."

"Proroctwa" Vol'masa – przekład
na mowę Got'he popełnił Vol'kaar

W czwartym tysiącleciu mieszkańców Ziemi skuł łańcuch tragicznych wydarzeń. Oto, na początku ery, wybuchła kolejna wojna mesjańska i okazała się w swych skutkach tragiczna dla globu. W wyniku kilkunastokrotnego użycia broni chemiczno-jądrowej, zginęło ponad czterdzieści procent populacji, kolejne dwadzieścia doznało trwałych uszkodzeń ciała lub umysłu. Wyginęło prawie trzydzieści procent flory, wymarło dwa razy tyle fauny. Po ośmiu miesiącach wojna skończyła się. Między Gildią Religijną i Ruchem Ateistycznym znów zapanował pokój. Rady Nadzorcze obu frakcji opracowały wspólnie plan odbudowy świata. W koloniach marsjańskich i księżycowej NSB (Niezależnej Stacji Badawczej) ustanowiono nowe prawa. W ciemnych pokojach powstawał Manifest Demokracji Wyznaniowej. Łańcuch się jednak nie skruszył. Gwałtowne zmiany temperatur, burze o ogromnej sile, wiatry, wreszcie wybuchy wulkaniczne, doprowadzały do coraz większych zniszczeń. To wówczas Gildia przedłożyła Ruchowi plan całkowitej kolonizacji Marsa, potajemnie zaś kończyła prowadzone od lat prace nad tajemniczym projektem, znanym później pod nazwą Krucjata. Ową kolonizację przyśpieszyła informacja NSB o zbliżającym się w kierunku Ziemi pasie meteorów. Kiedy na początku czwartego wieku poczęły uderzać pierwsze (podobno) mniejsze obiekty, Mars był już domem dla blisko miliona skrzętnie wyselekcjonowanych homo sapiens. Wtedy też Gildia uruchomiła program Krucjata.

Intencją Gildii była masowa kolonizacja nieznanego wszechświata. Ustalono, że najprostszym sposobem będzie wystrzelenie w różnych kierunkach specjalnie przygotowanych dwuosobowych kapsuł. Przyszli pasażerowie byli płodzeni naturalną metodą, zgodnie z restrykcjami Gildii, ale zarówno ojciec, jak i matka pochodzili z elitarnej grupy Elde – ludzi doskonałych. Potomkowie Elde od narodzin byli edukowani do późniejszej misji: wpajano im całą dostępną wówczas wiedzę z zakresu fizyki, matematyki, biologii, filozofii (ze specjalnymi wskazaniem religijnymi), historii. Ćwiczone przyszłych kolonizatorów w panowaniu nad umysłem i ciałem, balansowaniu uczuciami. Programy nauczania przerosły oczekiwania. Coraz częściej pojawiały się jednostki prawie idealnie wykształcone; panowało ogólne przekonanie, że wyszkolenie człowieka doskonałego to kwestia czasu. Nikt nie przewidział, że odnalezienie takiego dziecka Elde jest niemożliwe.

30 września, rok 4652 kalendarza ziemskiego

– Teraz, jeszcze raz, powiem wam, jak skonstruowana jest kapsuła – zaczął smętnie wykład profesor Richterski, rozglądając się po twarzach siedemnastoletnich uczniów. "Po co ja to mówię? Oni wiedzą lepiej ode mnie, na czym polega rzecz" – pomyślał. Jak każdy nauczyciel Gildii, miał na sobie czarną togę z poprzecznymi, srebrnymi pasami. – Nie – ciągnął – niech Maris opowie nam o wspianym wynalazku ukochanej Gildii – tu wskazał na siedzącego w trzeciej ławie chłopca.

Było to typowe eldowskie dziecko. Wysoki, przystojny, poważny mimo wieku, zamyślony, z długimi, czarnymi włosami. Chłopak wstał i rozpoczął słowami:

– Każdy z nas doskonale zna konstrukcję kapsuł, nie wydaje mi się, żeby...

– Ja decyduję, co się panu wydaje, a co nie, drogi przyjacielu – przerwał mu profesor.

– Przepraszam, profesorze. A zatem... jak każdy wie... kapsuła jest środkiem transportu. To kula o średnicy pięciu metrów. Zewnętrzną warstwę stanowią stopy metali. Najistotniejszym elementem kapsuły jest moduł, w którym podróż odbędą dwie osoby odmiennej płci. – Maris spojrział na trzecią ławę, gdzie na krześle siedziała wpatrzona w jego oczy Suzai, jeszcze przed narodzinami wybrana na jego towarzyszkę. – Moduł spełnia szereg funkcji. Przede wszystkim ma za zadanie utrzymać przy życiu złożonych w letargu podróżników. Czas letargu ustawiony jest początkowo na sto lat, zostaje wyłączony tylko w sytuacjach awaryjnych, na przykład przy wejściu w atmosferę planety. Po tym okresie następuje przebudzenie i...

– Dobra, już, już, bo sam wpadnę w letarg – z odczuwalną w głosie irytacją machnął ręką profesor. – Mówisz tak, jakbyś miał zaraz zwymiotować. Żadnego polotu w twych słowach, żadnej pasji. Pasja! To musicie w sobie odkryć. I siła! W każdym z was jest znakomita siła, jesteście potomkami Eldów. Nie ma i nie będzie doskonalszych istot od was. Nigdy. I to w całym wszechświecie, na zbadanie którego jesteście przygotowywani. To nie zabawa w marsjańskiego ufoludka. Tu nie ma odwrotu, choć byli tacy, co próbowali, i nie ma ich wśród nas. Wasza chwila jest blisko. Ten dzień wkrótce nadejdzie.

"Nawet nie zdają sobie sprawy, co ich czeka. Od ponad dwustu lat realizujemy z pasją Krucjatę, ale o jej efektach nie mamy żadnego pojęcia" – pomyślał, po czym bez słowa wyszedł z sali.

W komnacie rozległ się dźwięk alarmu. Maris wstał natychmiast. Dotknął ręką leżącą na drugim łóżku Suzai, a kiedy otworzyła oczy, powiedział:

– Już czas.

Szybko nałożyli uniformy. Ostatni raz zerknęli na swój segment mieszkalny. Było to rozległe, typowe pomieszczenie księżycowej stacji; sterylne lokum, pozbawione roślinności, z dwoma łóżkami Fuska i okrągłym, aluminiowym stołem.

Kiedy wylegli na korytarz, ujrzeni przed sobą mężczyznę. Na todze, przyszyty na piersi, widniał emblemat Rady Nadzorczej – złoty krzyż, połyskujący na tle pegaza.

– Już czas – powiedział nieznajomy – chodźcie za mną.

Szli korytarzem w kierunku windy, pozostawiając za sobą kolejne kajuty innych potomków. Wokół panowała jednak głucha cisza, zakłócana jedynie ich niegłośnymi krokami. Na korytarzu świeciły błękitnie lampy Bircha. Suzai spytała:

– Dlaczego jest tak cicho? Czy tylko my zostaliśmy dziś wybrani do Krucjaty?

Doszli do windy, mężczyzna nie odpowiedział. Gdy byli już w środku, wyjął niewielką kartę i włożył ją do szczeliny czytnika. Winda ruszyła.

"Ciężko byłoby wam znieść prawdę. Z tej grupy przygotowawczej została wybrana tylko wasza para, choć to i tak wiele – reszta już została uśmiercona" – skwitował w myślach. Zerknął na młodych:

– Nazywam się Voit, jestem progenerałem programu Kruczjata. Dzisiaj będę dowodził wyrzutem trzech kapsuł, w tym tą, w której wy zostaniecie umieszczeni. Pamiętajcie, byliście szkoleni do tego przez całe życie. Wypełniacie misję, dla której się narodziliście. W imię naszej religii i w imię ludzkości.

Zatrzymali się. Tym razem rozsunęły się drzwi z przeciwnej strony niż ta, którą wchodzili do windy. Ich oczom ukazał się potężny hol, na końcu którego znajdowały się ogromne, szklane drzwi.

– Zanim dane wam będzie przekroczyć Wrota Mesjasza – mówił Voit – i wejść na pokład kapsuły, musicie przejść przez inne, znajdujące się po prawej stronie komnaty, gdzie poddani zostaniecie koniecznym procesom.

Suzai spojrzała Marisowi w oczy. "Przy nim czuję się bezpieczna." Była to piękna dziewczyna, co może nie było rzadkością pośród córek Eldów, ale jej twarz promieniała – w przeciwieństwie do innych – dobrocią, ufnością, a może nawet miłością. Czarne, proste włosy łagodnie opadały na delikatne, choć z pewnością silne ramiona. Doprawdy wspinała istota!

Po sześciu godzinach "koniecznych procesów", Maris i Suzai stanęli przed Wrotami Mesjasza. Za plecami stał progenerał Voit.

– Jesteście gotowi – powiedział. – Możecie przejść przez Wrota Mesjasza.

"Przejść, ale jak?" – zadała sobie pytanie Suzai.

Maris wziął ją za rękę i podszedł do szklanego przejścia. Odwrócił się jeszcze do progenerała:

– Tutaj musimy się rozstać. Dobrze czynicie, nie mówiąc o tym, co dzieje się z tymi z naszych braci i sióstr, którzy ostatecznie nie trafiają do Kruczjaty. Ta informacja mogłaby okazać się tragiczna w skutkach. Dla was. Żegnaj.

Maris pociągnął Suzai za sobą i przeszli przez Wrota Mesjasza. Było to w istocie nie szklane, ale ciekłe wejście, reagujące na DNA przechodzącej osoby. Jeżeli chciałby tędy wejść człowiek nie będący potomkiem Eldów, zginąłby na miejscu.

Ostatnie słowa Marisa, który wraz z Suzai już zniknął progenerałowi z oczu, mimo że wrota wydawały się przezroczyście, wywołały w dostojniku mieszane uczucia.

"Jeszcze żadna para potomków nie przeszła przez Wrota bez moich objaśnień ich konstrukcji. Nie pamiętam, by którykolwiek z potomków domyślał się, jaki los spotyka pozostałych. Ale on to wiedział."

Suzai i Maris znaleźli się w olbrzymiej hali. Na środku, na podeście stała kapsuła. Opodal, również na podwyższeniu, znajdowało się otoczone metalowymi barierami centrum dowodzenia. Mnóstwo było sprzętu elektronicznego, a jeszcze więcej krzątających się postaci.

– Witajcie kochani, jestem doktor Rashenco – ujrzeni niewysokiego bruneta, z wąsikami, w białej todze z czarnymi, poprzecznymi pasami oraz emblematem NSB na piersi. – Poprowadzę waszą kapsułę poza układ słoneczny – ciągnął – a to mój asystent Ian.

Ian skinął tylko głową i od razu udał się za błądy centrum dowodzenia. Rashenco poprowadził młodych w stronę kapsuły. Rozkazał asystentowi otworzyć właz, co niezwłocznie zostało uczynione.

– Cóż, tutaj zaczyna się wasza historia, kochani. Zapraszam do środka. – powiedział naukowiec i pomyślał: "Jaki ten los jest okrutny. Jakże wspaniale można by ich wykorzystać tutaj, w NSB albo na Marsie. Szalona Gildia, gdybym tylko mógł... Tam nic nie ma, w tym kosmosie... Nic, prócz śmierci."

– Dziękujemy, doktorze – wdzięcznie przemówiła Suzai i podążyła za Marisem, który już przekroczył właz i znalazł się w środku.

Rashenco gestem wydał polecenie zamknięcia włazu. Wszedł na podest centrum dowodzenia. Spojrzał na Iana, który uśmiechał się do siebie.

– Z czego tak chichotasz? – zapytał.

– Niezła ta mała, co? – wykrztusił asystent i przeleciało mu przez umysł: "Ha! Mógłbym z pewnością zaspokoić potrzebę tak doskonałej istoty..."

– Nawet o tym nie myśl – przerwał mu sucho Rashenco. – Dobrze znasz klauzulę Gildii. Gdyby ktoś dopuścił się zmieszania krystalicznie czystego DNA potomka Eldów z brudnym DNA człowieka, Bóg jeden wie, jakie mogłyby być tego następstwa. Mówi się o bardzo prawdopodobnej opcji narodzenia się genetycznego mutantu, ale chodzą też pogłoski o jeszcze gorszych możliwościach.

– Spokojnie, tylko marzę – powiedział Ian.

– Od marzeń do czynów krótka droga – wciąż niepokojąco spoglądał na asystenta Rashenco. – Koniec pogaduch, wyślijmy ich w końcu w Kosmos.

Doktor włożył do ucha słuchawkę i ustawił wystający z niej mikrofon naprzeciw swych ust.

– No, kochani, zaczynamy. Widzę, że już sobie poradziliście z siedzeniami i pasami tlenu, zresztą wszystko znacie z wykładów i zajęć praktycznych, więc nie będę wam teraz objaśniał. Teraz opuścimy na was znane wam szklane walce – doktor kiwnął głową Ianowi. Nad głowami Marisa i Suzai pojawiły się szklane dachy, które powoli zsunęły się aż do podłogi, otulając skrępowane pasami ciała potomków. – Za chwilę poczujecie ukłucie w ramię, po czym zapadniecie w sen. Pierwsze przebudzenie za sto lat, dalej wiecie, co robić. W imieniu Gildii Religijnej życzę powodzenia. Niech Bóg i Mesjasz będą z wami.

W jednym czasie z siedzeń, na których spoczywali podróżnicy, wysunęły się prawie niewidoczne igły i, pokonując okrycie wierzchnie, wbiły się w ich ciała.

"To... Dziwne uczucie. To... boli. Tak ból... Nie, nic. Nie wiem. Aaaa..." – Maris chciał krzyknąć, ale już nie zdążył. Wraz z Suzai zapadł w długi sen. Do słoików nalała się substancja, która dopełniła przygotowań do letargu.

"Na czym polegał proces letargu, dzięki któremu podróżnicy nie starzeli się i nie odczuwali mijającego czasu, jakim sposobem mogli podróżować – zgodnie z posiadanymi informacjami – ponad tysiąc lat z szybkością zbliżoną do prędkości światła, jakie wynalazki nauki i techniki wykorzystano, jakie zastosowano pierwiastki – na te i inne pytania szukam odpowiedzi."

Notatki – Vol'kaar

Przerażający świst zbudził Marisa. Kiedy otworzył oczy, wszystko wydało mu się zamglone. Z każdą sekundą jednak wzrok wyostrzał się, aż wreszcie widział wyraźne kształty zainstalowanych przed nim monitorów i przeróżnych przycisków. Coś wstrząsnęło kapsułą. Na ekranie najbliższego monitora dostrzegł napisany wielkimi literami napis: "ALARM". Wreszcie uzmysłowił sobie: "Coś się musiało wydarzyć. To awaryjna pobudka." Przypomniał sobie o Suzai, dopiero teraz pobiegł wzrokiem na znajdujące się opodal siedzenie. Dziewczyna leżała w bezruchu.

– Suzai! – krzyknął Maris i pomyślał: "co się stało? Dlaczego ona jest nieprzytomna?" Podeszedł do niej i przyłożył dwa palce na szyi, szukając tętna. Nie wyczuł go. "Ona... nie żyje!"

W tym momencie kapsułą targnął jeszcze silniejszy niż uprzedni wstrząs. Maris zachwiał się, i padł na podłogę kapsuły. Szybko zebrał się i podbiegł do komputerów. Wystukał polecenia i na monitorach ujrzał obraz z zewnątrz .

Trudno było mu zrozumieć, co widzi. Niezwykłe chmury, wyładowania elektrostatyczne, wreszcie żadnych gwiazd czy planet. Uzmysłowił sobie, że kapsuła znalazła się w jakiejś burzy. Wpisał komendę zidentyfikowania warunków.

"NIE ZIDENTYFIKOWANO."

Powtórzył komendę. Za moment na ekranie wyświetlił się po raz kolejny komunikat:

"NIE ZIDENTYFIKOWANO."

"W takim razie, co to jest? Może... nie..." – myślał błyskawicznie i poprzez klawiaturę przekazał komputerowi, aby spróbował powiązać zaistniałe warunki ze zjawiskiem czarnej dziury.

"PRAWDOPODOBIENSTWO WARUNKOWE ZDARZENIA: 0,723468990"

"To może być..." – nie dokończył myśli. Kapsułą po raz kolejny wstrząsnęło. Kiedy chciał dotknąć klawiatury, poraziło go napięcie. Huknęło. Wstrząs. Przyciski zaczęły strzelać prądem, pękło kilka monitorów. Nagle zapadła ciemność. Wstrząs. Maris stracił przytomność.

ISA'PEI

"I zjawi się Vor'gur [nieznajomy], od którego wszystko się zacznie."

Proroctwa" Vol'masa – przekład na mowę Got'he popetnił Vol'kaar

Maris zbudził się z ogromnym bólem głowy. W module monotonnie pulsowały niebieskie światełka awaryjne; gdzieś tam białe iskry rozświetlały zniszczone urządzenia, mącąc przy tym nieskażoną ciszę.

Chłopak wstał. Podeszedł do Suzai i delikatnie musnął dłonią jej policzek.

"Nigdy cię nie kochałem – o tym wiedziałaś. Wiedz jednak, że nie byłaś mi obojętna. Pamięć o tobie pozostanie w moim sercu. Żegnaj Suzai, najpiękniejsza z potomków."

Po godzinie uporał się z uprzątnięciem modułu. Ciało zmarłej umieścił na fotelu, by następnie mechanicznie opuścić na nie słój i zalać substancją podtrzymującą letarg. Chciał utrzymać ciało w jak najlepszym stanie, sam nie wiedział po co.

Następnie zabrał się za sprawdzanie uszkodzeń. Cała aparatura była miejscami spalona. Dopiero teraz uzmysłowił sobie, że Gildia nie przewidziała jakichkolwiek awarii technicznych, bo w całym module nie znalazł nic, co mogłoby posłużyć do napraw. Mimo to usunięcie największych uszkodzeń najważniejszych elementów nie sprawiła Marisowi kłopotu, gdyż ich budowę znał na pamięć, tak jak wszystkie postulaty fizyki.

Po kolei naprawiał więc usterki. Wreszcie udało mu się uruchomić interfejs głównego komputera. Przełączył obsługę manualną na głosową. Gdy to uczynił, przemówił:

– Czy mnie słyszać?

– Tak, słyszę cię, Maris – odezwał się syntezowany głos.

– Sporządź raport o stanie kapsuły – wydał polecenie, stawiając na wysunięty uprzednio przy siedzeniu stolik puszki z żywnością i piciem. – Przeanalizuj awarię od momentu pierwszego czynnika po chwilę terazniejszą. Zidentyfikuj położenie.

Usiadł i otworzył puszkę.

– Maris, mam raport o stanie kapsuły – syntezytor idealnie kształtował każde słowo.

– Później. A raport o awarii?

– Również gotowy. Czy mam przekazać?

– Tak – z niepokojem rozkazał potomek.

– Raport o awarii, dane z pliku dwa-pięć-pięć-osiem, piętnasty grudnia, rok cztery tysiące dziewięćset siedemdziesiąt dwa, kalendarza ziemskiego – komputer rozpoczął przemowę. – Pierwszy czynnik: wyładowania elektrostatyczne. Pochodzenie: nieznanne...

Stop! – powiedział Maris. "Jaka data?" – Powtórz terazniejszą datę.

– Piętnasty grudnia, rok cztery tysiące dziewięćset siedemdziesiąt dwa, kalendarza ziemskiego – odpowiedział komputer.

– Prawdopodobieństwo błędu?

– Prawdopodobieństwo błędu: zero.

"Jak to możliwe?"

– Podaj datę startu z Niezależnej Stacji Badawczej – wydał polecenie Maris.

– Drugi października, rok cztery tysiące sześćset pięćdziesiąt trzy, kalendarza ziemskiego.

– Podaj datę pierwszego czynnika awarii.

– Trzynasty października, rok cztery tysiące siedemset dwanaście, kalendarza ziemskiego.

– Podaj datę ostatniego czynnika awarii – Maris myślał błyskawicznie, tak jak go wyszkolono.

– Czternasty grudnia, rok cztery tysiące dziewięćset siedemdziesiąt dwa, kalendarza ziemskiego – znów padła komputerowa odpowiedź.

– Podaj czas awarii.

– Dwanaście sekund.

"Nic z tego nie rozumiem. Albo komputer się myli, albo..." – nie dokończył myśli, gdyż w tym momencie poczuł mocny wstrząs.

– Co się dzieje? – krzyknął, chociaż nie był przerażony. Pojedynczy wstrząs zamienił się w nieustające turbulencje. – Komputer! Co się dzieje?!

– Kapsuła weszła w atmosferę planetarną.

– Widok z kamery numer jeden!

Komputer wykonał rozkaz i na głównym ekranie Marisowi ukazał się nadzwyczajny widok piętrzących się, ciemnoniebieskich kłębow, opływających kapsułę. Ogromne przeciążenie spowodowało pęknięcie słoja. Ciało Suzai wyłynęło zeń. Maris poturlał się i uderzył głową o ścianę. Zaczął czołgać się w stronę siedzenia, mijając przy tym zieloną twarz Suzai. Miał coraz mniej siły. Wiedział, że musi zabezpieczyć ciało przed silnym wstrząsem, inaczej zginie. Wreszcie złapał się fotela i podciągnął do góry. Usiadł i ostatkiem mocy założył dwa duże pasy bezpieczeństwa. Wydał jeszcze polecenie:

– Wykonać procedurę lądowania.

Oczy zasły mu mgłą, a umysł przestał normalnie pracować.

Widział na ekranie, jak kłębiaste zjawisko mija, zastępowane przez podobnego koloru długie smugi. Potem była już tylko ciemność. Komputer wykonał procedurę lądowania, dzięki której kapsuła dość miękko położyła się na nieznanym gruncie.

Ocknął się, czując, jak przeszywają go dreszcze. W kapsule było zimno. Odpiął pasy i podszedł do komputera. Wpisał komendy; rozpoczęła się analiza środowiska zewnętrznego.

– Maris, mam raport o środowisku zewnętrznym – rozległ się dźwięk syntezowanej mowy.

– Podaj – polecił chłopak .

– Temperatura powietrza: minus sześć stopni Celsjusza – rozpoczął komputer. – Siła przyciągania: dziewięć koma dziewięćdziesiąt jeden. Składniki atmosfery: azot – 78%, tlen – 21 %, argon – 0,8%, oraz dwutlenek węgla, neon, hel, krypton, ksenon, radon. Uwaga: składnik nieznan! 0,00012% próbki.

– Stop! – "nieznany składnik?" – Powtórzyć badanie składników powietrza – Maris znał wszystkie kodeksy na pamięć. Wiedział, że nie ma powrotu. Nie ma sposobu na podniesienie kapsuły i ewentualną ucieczkę przed "nieznanym składnikiem".

"Ilu z mych braci i siostr spędziło życie w kapsułach lub wstrzyknęło sobie gram trucizny do krwiobiegu..." – pomyślał.

– Maris, mam raport o składnikach atmosfery

– Podaj.

– Składniki atmosfery: azot – 78%, tlen – 21 %, argon – 0,8%, oraz dwutlenek węgla, neon, hel, krypton, ksenon, radon. Uwaga: składnik nieznan! 0,00011% próbki.

– Komputer, analiza porównawcza nieznanego składnika – zakomenderował Maris, po czym dodał: – Widok z kamery numer jeden.

Na ekranie pojawił się ciemny obraz obcego świata. Chociaż nic obcego Maris nie dostrzegł. Wśród unoszącej się pary, będącej efektem lądowania kapsuły, rosły tutaj drzewa, o których wielkości świadczyły potężne pnie, kołyszące się krzewy, i inna roślinność, jaką można było spotkać w lesie na Ziemi albo w laboratoriach przyrody na Marsie.

– Maris, mam analizę porównawczą nieznanego składnika.

– Podaj.

– Nieznany składnik: pierwiastek chemiczny o budowie strukturalnej...

– Stop! – "to mnie nie interesuje" – włącz cyrkulację powietrza.

– Maris, operacja cyrkulacji spowoduje napłynięcie nieznanego składnika atmosfery do środka kapsuły.

– Wiem, wykonać

"Wolę śmierć niż życie w kapsule. Czuję jednak, że...". Maris nie dokończył myśli, gdyż w tym momencie poczuł lodowate powietrze, które natychmiast powędrowało do płuc, porażając je swoją świeżością. Wykonał jeszcze kilka bardzo głębokich oddechów, maksymalnie dotleniając eldowski mózg. "Wciąż żyję!" I nie miał zamiaru czekać. Błyskawicznie założył na siebie czapkę, dwa swetry i naciągnął dodatkową parę spodni, wyjęte z przygotowanego przez Gildię wyposażenia. Był gotowy do wyjścia i zniecierpliwiony. Przypomniał mu się napis na głównej auli im. N. Armstronga w NSB: "To mały krok człowieka, ale gigantyczny skok ludzkości. *Księżyc. 20 lipca 1969 r. Neil Armstrong.*"

– Komputer, otwórz włącz.

Na zewnątrz było bardzo zimno i ciemno. Szybki rekonesans otoczenia utwierdził Marisa w przekonaniu, że wylądował w lesie. Przez ogromne korony drzew docierały do ziemi lekkie promyki światła z pewnością odbitego od jakiegoś księżycy. Liście w szalonej walce z wiatrem wydawały okrzyki rozpacz, niektóre siłą odrywane od gałęzi traciły żywot i wędrowały ku ziemi, inne stawiały opór naturze. Jeden z przegranych listków osiadł na ramieniu Marisa. Chłopiec ujął go w dłoń jak dziecko i obejrzał dokładnie. Dziwiło go, że przy niskiej temperaturze roślinność jest tak bujna i wspaniała. Przypomniał też sobie obrazy z Ziemi, na których utrwalał się, melancholijnie wspominany przez nauczycieli, biały, przepiękny śnieg. Tutaj śniegu nie było.

Potomek wrócił do kapsuły. Podźwignął leżącą Suzai. "Szkoda, że nie możesz poczuć tego powietrza" – pomyślał. Z pomocą latarki odnalazł szczelinę, w którą ułożył ciało dziewczyny. Przysypał je odrobiną suchego, lodowatego piasku i zakrył znalezionymi opodal zmarniałymi gałęziami. Na koniec wyjął z kieszeni zabraną z kapsuły klejnot Jezusa – znak religii chrześcijańskiej – i ułożył go na stercie. "Mam nadzieję, że odnalazłaś to, czego nie dane jest znaleźć za życia. Śpij słodko, droga Suzai."

"I w miejscu, gdzie kości Rai'tai [pięknej z niebios] musną piasków Isa'Pei, wyrosnie potężny Var'Tasar, i imię jej na wieki czarować będzie kobiety."

Po kilku godzinach przebywania na mrozie Maris źle się poczuł. Wrócił do kapsuły i zamknął właz. Pożywił się substancją, którą bezpośrednio wstrzyknął sobie do krwi za pomocą elektronicznej strzykawki. Miał w sumie z pięćdziesiąt porcji. Już teraz martwił się o pożywienie; prócz kapsuł żywieniowych zostało mu jeszcze kilka puszek. Postanowił więc, że w przyszłości będzie się pożywił co dwa, trzy dni. W ciągu kolejnej godziny przyszła gorączka i kaszel. Wreszcie wyzbyty sił usnął. Gdy się zbudził, wcale nie czuł się lepiej. Na ekranie migotały obrazy z różnych kamer. Na zewnątrz wciąż panowała ciemność. "Jak długa jest tu noc?" – zastanowił się. Nie miał ochoty wychodzić z kapsuły, mimo że ogarniała go chęć poznania większej części terenu. Począł jednak myśleć o planecie i zadawał pytania, na które nie mógł sobie udzielić żadnej odpowiedzi, nawet wymijającej. Jak duża to planeta? Czy jest tu jakaś cywilizacja? Jeśli tak, to jak bardzo rozwinięta? Może już go szukają, dostrzegłszy w Kosmosie jego kapsułę? Trochę go to przeraziło. Może powinien opuścić kapsułę? Uciekać. Ale gdzie? Co robić? "Pomóż mi, Suzai!"

Mijały kolejne dni, ale nikt nie zakłócał jego spokoju. Noc nie ustawała, ciemności wciąż były nieprzeniknione i oglądanie nowego świata z trzech kamer kapsuły zaczęło go dręczyć. Czuł się już znacznie lepiej. Wolny czas wypełniał przygotowaniem do dłuższej wyprawy, o której zdecydował podczas jednej ze swoich sesji z komputerem. Rozmawiał z nim w tych wolnych chwilach często i studiował jego pamięć, która okazała się dość zasobna w materiały. Ponieważ miał wszechstronne przygotowanie, niczym kameleon zamienił się z podróżnika kosmicznego w chemika i z zajądłością badał powietrze z nie dającym spokoju "nieznanym składnikiem" na czele. Do niczego jednak nie doszedł.

Gdy tylko poczuł, że jest w pełni sił, zebrał wcześniej przygotowane rzeczy, zapakowane w znaleziony plecak i wyszedł ochoczo na zewnątrz. Komputer wybałał, że temperatura podniosła się o kilka stopni. Maris był w dobrym nastroju. Na kilka sekund zatrzymał się przy wyrwie, w której piękne ciało zaczęło się już poddawać rozkładowi. Nie znalazł jednak słów, by powiedzieć, jak bardzo tęskni za nią, jak bardzo chciałby, aby była teraz przy nim. Żeby razem odkrywali planetę i razem, jeśli tak będzie chciał los, pomarli w tych okrutnych mrozach.

Ruszył przed siebie. Lekki wiatr muskał twarz. Maris rozglądał się uważnie, światłem latarki odkrywając to, co kryło się w ciemności. Ziemia nie nosiła śladów zwierząt czy stóp. Nie było ścieżek. Niektóre miejsca były nie do sforsowania i musiał wtedy wybierać inną drogę. Co dwadzieścia, trzydzieści metrów zatrzymywał się, aby wydłubać w korze podłużny znak. To na ewentualność zagubienia się w ciemności. Oddalił się już znacznie od kapsuły i w końcu postanowił zawrócić.

Kolejne dni, jeśli czas mijający w nieustannej ciemności można podzielić na dni, spędzał podobnie: brał najpotrzebniejsze rzeczy i wybierał się na kilkugodzinny spacer. Niczego jednak podczas tych eskapad nie odnalazł. Zapasy substancji odżywczej kurczyły się, w związku z czym spożywał je coraz rzadziej. Bywało, że wracał z wycieczki bardzo wyczerpany i głodny, wtedy spał nawet po kilkanaście godzin.

Któregoś dnia po tak długim śnie postanowił, że wyruszy na dłużej. Zabrał ze sobą zapas trzech kapsulek z substancją i elektroniczną strzykawkę. Ubrał dodatkowe swetry i spodnie, wziął też drugą parę butów. Wyglądał komicznie. Wychodził z myślą, że będzie to jego najdłuższa wyprawa, okazało się jednak, że była ostatnią.

MIT'SA VOR'GUR

"I postąpi Vor'gur [nieznajomy] ku Isa'Mai, lecz nie dane mu będzie jej wówczas zobaczyć. I ujrzy Vor'gur Mit'sa Vor'gura, i zmierzy się z przeznaczeniem."

Maszerował dwadzieścia godzin bez przerwy. Coraz lepiej widział w ciemności, mimo to często musiał pomagać sobie latarką. Nic jednak nie przykuło jego uwagi, za wyjątkiem dużej wyrwy w ziemi. Świecił w środek, ale dna nie dostrzegł. Korony drzew wciąż zamykały dostęp do nieba, które tak bardzo pragnął ujrzeć. Próbował nawet wbić się na jedno, lecz fatalne ułożenie gałęzi i niekończąca się fala liści zamykały dostęp na szczyt. Wreszcie zmorzył go sen. Znalazł kolejną dziurę w ziemi. Miała może dwa metry głębokości. Na dole zawijała się nieznacznie, tak że Maris mógł się tam położyć. Myślał o skrziesaniu ognia, nie znalazł jednak pomysłu, jak tego dokonać i musiał zadowolić się kocem. Spał kilka godzin, ale nie był to przyjemny sen. Żeby odzyskać siły, wstrzyknął sobie kapsułkę. Zebrał wszystko i ruszył w drogę.

Uszedł niewiele, kiedy ujrzał majaczące w oddali światło. Podniecony zjawiskiem przyspieszył. Minął jeszcze kilka drzew, gdy wreszcie zrozumiał, że znajduje się naprzeciwko niewielkiej polany. Wybiegł na środek i spojrzał ku niebu. "Niewiarygodne! Przepiękne! Wspaniałe!" Ani jednej chmurki, która zasłaniałaby widok, nawet szarawej smugi. Niebo było posypane miliardem gwiazd, które zdawały się być tak blisko, że można ich sięgnąć dłonią. Przeniósł spojrzenie na księżyc, który lśnił jasnym światłem. Dalej na lewo zobaczył inną planetę. Okalający ją pierścień uderzał tysiącami kolorów. Maris odwrócił energicznie głowę i dokładnie po drugiej stronie również ujrzał naturalnego satelitę, znacznie jednak masywniejszego i podziurawionego ciemnymi otchłaniami. Gdzieś za nim ukrywały się kolejne księżyce czy świecące odbitym blaskiem planety. Widok sprawił Marisa w takie osłupienie, że stał na polanie niczym znany mu z bajek strach na wróble.

Z chwilowej, romantycznej agonii wyrwał go chrobotliwy hałas.

Szedł kilka minut; dudnienie stawało się coraz wyraźniejsze. Najpierw ujrzał migoczące w oddali światła. Niebieskawe smugi przecinały powietrze, zbliżając się niebezpiecznie. Potomek Eldów zamarł, kiedy zza światła wynurzył się gigantyczny pojazd, unoszący się swobodnie w powietrzu – długi na przeszło dwadzieścia, szeroki i wysoki na piętnaście metrów prostopadłościan. "Co to jest, na Boga?" Maris zareagował błyskawicznie. Wycofał się między drzewa, gubiąc przy tym plecak. Uratowało mu to życie, gdyż w miejscu, z którego przed chwilą obserwował zjawisko, padło drzewo. Pojazd taranował wszystko na swojej drodze.

Był coraz bliżej chłopaka. Łuny już błdziły po jego stopach. Nagle na czarnej bryle pojawiło się światło, z którego wypłynął pojazd o przedziwnym kształcie i skierował się w stronę potomka. Maris nie wiedział, co ma czynić. Ogromna siła powietrzna, niczym trąba, odsłoniła koronę drzewa. Na spodzie pojazdu, który zawisł nad potomkiem, błysnęła iskra i zapaliło się koło o dwumetrowej średnicy. Maris znieruchomiał. Kątem oka widział, jak w jednym momencie z wielkiego prostopadłościanu wyskakują kolejne takie dziwactwa i rozlatują się po całym niebie. Huk był przeraźliwy. Świetlne koło wystrzeliło smugą w kierunku syna ludzi doskonałych. Nie doszło jednak celu, gdyż coś wcześniej zważyło Marisa z nóg. Poturlał się i uderzył z impetem w wystający korzeń. Doszły go jakieś szmery i szybkie uderzenia stóp o podłoże. Coś złapało go za obie ręce i ciągnęło po ziemi. Gdy zwrócił wzrok w tę stronę, ujrzał dwie niewyraźne postacie. Nie wiedział, co się dzieje. Przez chwilę myślał, że śni, ale ból był prawdziwy, a ucisk nieznajomych silny. Próbował się wyrwać – nadaremnie. Poczul nagle, że jest wciągany do szerokiej dziury w ziemi, być może takiej, jak ta, którą widział wcześniej. Dopiero gdy znalazł się w korytarzu, uwolniono go z uścisku.

Wstał. Wtem w dłoni jednej z postaci zapulsowała światłem pochodnia. Rozjaśniło się znacznie. Maris pobiegł wzrokiem po nieznajomych. Otuleni byli w dziwnie wyglądające szaty i mieli zakryte twarze. Jeden z nich krzyknął:

– Na taraj ma! – głos był twardy, szorstki, ale nie było w nim nic nieludzkiego. – Tan za taraj'pei!

– Valh'pur! – wyrzucił drugi.

Potomek usłyszał szurnięcie z tyłu. Odwrócił głowę, ale zdążył zobaczyć jedynie połyskujący przedmiot – w tej samej chwili otrzymał potężny cios w prawe ramię i padł na ziemię. Drugie uderzenie było lżejsze i pacnęło w plecy. Kiedy tracił przytomność, usłyszał jeszcze:

– Na! Nei Vol'kaar turma Vor'gur pa'tei – potem wiedział, że słowa te uratowały mu życie. ***

VOL'KAAR

"Wtedy krzyknął do Valh'pura: "Nie! Będzie Vol'kaar chciał ujrzeć twarz Vor'gura." Był bowiem Vor'gur przeznaczeniem uratowany przed czeluścią Mit'sa i przed kor'tai [ciossem ostatecznym] Valh'pura."

"Jak młody Valh'pur nie dokonał kor'tai na wielkim Mas'taraju" – fragment zapisku odnalezionego na przełęczy Tar'maha – przekład na mowę Got'he popełnił Vol'kaar

Maris ocknął się, kiedy gdzieś w pobliżu zawrzała rozmowa. Wyłapywał pojedyncze słowa: "vor'gur", "taraj", "vol'kaar", które utkwiły w pamięci. W głowie mu szumiało. Nie mógł ruszać prawym ramieniem, ale ktoś owinał je tkaniną nasączoną miksturą o przyjemnym zapachu. Leżał nagi w komnacie o piaskowych ścianach. Na jednej z nich wisiała pochodnia, promieniująca niestabilnym światłem. Drzwi były wykonane z drewna. Poza tym było pusto. Łóżko, na którym spoczywał, nie należało do wygodnych. Twarde podłoże kuło ciało pojedynczymi igiełkami – drewno nie zostało dokładnie oszlifowane.

Wtem drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem. Maris natychmiast zamknął oczy. Poczul delikatne muśnięcia po zbolałym ramieniu. Ktoś rozwinął opatrunek i zaczął nakładać zimne smarowidło, by wreszcie delikatnymi ruchami rozmasować je po ranie. Leciutki dreszczyk pobudził umysł. Potomek otworzył oczy.

Istota dostrzegła to i cofnęła się, tak że ogarnęło ją światło. Biała, zwiewna tkanina, w którą była odziana, uwidaczniała jej wdzięki: powabne piersi, biodra. Maris poszybował wzrokiem ku twarzy nieznajomej. Była to piękna kobieta. Włosy miała długie, czarne i związane z tyłu. Oczy finezyjnie niebieskie. Dopiero teraz spostrzegł coś, co go zdziwiło: od lewej skroni, poprzez okolice lewego ucha, lewą stronę szyi, kończąc na ramieniu, biegła podłużna blizna.

Istota niespodziewanie przemówiła, a jej piękny głos niczym najlepsze wino podziałało na Marisa natychmiast, wprawiając go w stan uniesienia:

– Tas vor'gur na taraj pa'tei?

Potomek wyczuł pytanie, chciał coś odpowiedzieć, lecz wtem do komnaty wpadło dwóch rostrych mężczyzn. Obaj mieli na sobie czarne, długie narzuty, wysokie buty i szerokie pasy z metalicznymi kulkami. W rękę trzymali metrowe, srebrzyste przedmioty, zakończone z jednej strony kulą, a z drugiej szpikulcem. "Czyś takim zwałono mnie z nóg..." – skonstatował Maris. Szybko odnalazł na twarzach nowych gości blizny, podobne do tej u istoty, która przed momentem tak go olśniła.

– Moi'ra, tonza vor'gur kala! – krzyknął pierwszy do kobiety. – Vol'kaar na dar tonza.

– Le... – chciała coś powiedzieć.

– Moi'ra! – wtrącił się drugi – toi va'se.

Kobieta opuściła pomieszczenie, za moment wróciła, trzymając w ręku tkaniny. Podała je jednemu ze swoich ziomków. Ten spojrział na nią złowrogo. Gestem ręki rozkazał wyjść z komnaty.

– Tompa va'se – rzucił ubrania na Marisa.

Chłopiec zachował poważną minę. Przez lata uczono go, aby nie zdradzać stanu emocji. W najtrudniejszych sytuacjach trafnie podejmowane decyzje są największym sprzymierzeńcem. Z trudem nasunął na siebie podłużną suknię. Wciąż bardzo bolało go ramię, teraz pozostawione bez opatrunku.

– Tei! – powiedział jeden z osiłków i ustąpił z wejścia.

Maris zrozumiał, że ma dokąd iść. Wstał nie bez wysiłku, czując ból w krzyżu.

Szli korytarzami, z tego, co zdołał zaobserwować, wydrążonymi w głębi ziemi. Niektóre były wysokie na cztery metry, inne nie większe niż dwa. Ich szerokość cały czas była podobna: w poprzek mieściły do czterech tęgich mężczyzn. Powietrze było świeże, choć nie lodowate. W międzyczasie do grupy przyłączyło się jeszcze dwóch mężczyzn z długimi, drewnianymi włóczniami. Wyglądali podobnie: długie włosy, czarne suknie i blizna na lewej stronie twarzy.

Wycieczka widocznie miała trwać dłużej – po przeszło dwóch godzinach marszu zatrzymali się na krótki odpoczynek. Nic nie mówili, stali tylko z posępnymi minami. Jeden czyścił szmatką srebrzystą broń. Wkrótce ruszyli dalej. Z każdą chwilą marszu Maris słabł, a ciało domagało się pożywienia. Szedł już z zamkniętymi oczyma. Co i raz klepinięciem w plecy któryś z mężczyzn dawał mu do zrozumienia, że nie może zwalniać.

Zbyt wyczerpany, by iść dalej, zsunął się w pewnym momencie na ziemię. Zaskoczyła go reakcja asystujących mężczyzn: dwóch z nich podniosło go i złapało pod ramiona (ten z prawej delikatniej, zwracając uwagę na ranę). Nieśli go spokojnie, z łatwością pokonując ciężar. Po kolejnym przystanku Maris usnął.

– Zbudź się... Zbudź się, potomku – Maris otworzył oczy. Ujrzał przed sobą Suzai. Jej twarz wydała mu się jeszcze piękniejsza niż ta, którą pamiętał.

– Ja... Co się stało? – nie mógł skojarzyć faktów.

– Coś ci się śniło. Coś niedobrego – odpowiedziała łagodnym głosem.

– Nie, to nie był sen. Ja tam byłem – ogarnął twarz rękoma.

– Gdzie?

– Na tej planecie. Mroźnej planecie. Piękne było niebo. I ludzie, zwyczajni, tacy jak my, choć każdy miał bliznę, dziwną bliznę po lewej stronie twarzy.

– Spójrz na mnie... – powiedziała szeptem.

Maris ponownie podniósł wzrok i ujrzał przerażającą istotę o poszarpanej ranami twarzy. Uśmiechnęła się, uwydatniając metaliczne zęby.

– Umrzesz, człowieku bez skazy – powiedziała postaci zmienionym głosem.

Buchnęło ogniem. Rozejrzał się po kapsule, ale nikogo w niej nie było. Spojrzał na dłonie – obie spokojnie płonęły. Przeszył go przerażający ból. Krzyknął tak głośno, jak tylko mógł...

– Zbudź się... Zbudź się. To tylko sen...

Maris otworzył oczy. Stał przed nim mężczyzna o długich, jasnych włosach i siwej brodzie. Białą szatę zdobił przepiękny medal, wiszący na łańcuchu okalającym szyję. Po lewej stronie twarzy blizna prawie że wtopiła się w zmarszczki, znamienne świadczące o wieku.

– To tylko sen – powtórzył nieznajomy.

– Gdzie... – potomek spostrzegł czterech mężczyzn stojących opodal, piaskowe ściany, pochodnie, przypomniał sobie... – Kim jesteś? – "Dlaczego on mówi moim językiem?"

– Jestem Vol'kaar. Nie myśl teraz o niczym, odpowiedzi nadchodzą.

PROROCTWA VOL'MASA

– Widzę, że czujesz się już zupełnie dobrze – powiedział Vol'kaar. – Podoba ci się komnata?

Komnata, rozświetlona pochodniami, nie była podobna do tej, w której Maris był wcześniej przetrzymywany. Ściany pokryte były pięknie wyrzeźbionym drewnem. W kącie stał okrągły stolik, a przy nim drewniane baliki. W powietrzu unosił się przyjemny zapach.

– Co to za planeta? – spytał syn Eldów.

– Planeta... Ach, tak, planeta. Dom nasz nazywamy Isa'Pei. Trudno o tłumaczenie na twoją mowę, choć pei może oznaczać wyzbyty.

– Jak...

– ...właśnie – przerwał Marisowi. – Tutaj zaczynają się odpowiedzi, które tak śmiało chcesz poznać. – Kaar podsunął sobie balik, usiadł na nim, wyciągnął długą na dwadzieścia centymetrów rurkę i kilkakrotnie stuknął nią o ziemię. Wstał, jeden koniec rurki przyłożył do ust, drugi zatopił w ogniu pochodni. Słodki zapach rozprzestrzenił się po komnacie. Brodaty spoczął na baliku i rozpoczął słowami: – Zaczniemy od mowy. Tajemna Got'he przekazywana jest pośród Vol'sai, którym to również ja jestem, od wieków. Gdy tylko dorosłem, ojciec mój, Vol'pryh, przekazał mi pierwsze słowa w waszym języku, pamiętam to dobrze, chociaż minęło już tyle czasu. Powiedział: Vol'kaar, tobie pisane jest poznać prawdę – spojrzął na zainteresowanego słowami Marisa, po czym kontynuował.

– Uprzedzę twoje pytanie. Niestety, nie wiem, skąd ojciec mój, a wcześniej jego ojciec i tak dalej, znali tę mowę. Ale pierwszy raz od śmierci mego ojca, usłyszałem ją dopiero od ciebie, kiedy śniąc krzyczałeś. "I rozpozna Vol'sai w czwartym pokoleniu, iż ma przed sobą Vor'gura, gdy ten przemówi do niego przez Got'he." – tak prorokował wielki Vol'mas, a to tylko fragment proroctwa. To znak. Tak jak to, że nie dopadł cię Mit'sa i nie zabił Valh'pur.

– Rozumiem, że Mit'sa to te wielkie pojazdy, które strzelają światłami.

– Mit'sa to mordercy – starzec spojrzął ostro na Marisa i zaciągnął się mocno z rurki. – Nasze życie to ciągła ucieczka przed Mit'sa.

– Czym są Mit'sa? – spytał spokojnie chłopak.

– Nie czym, ale kim. Zgodnie z zapiskami, manuskryptami i rycinami, to obce tej planecie istoty. Dawno temu, kiedy lud Isa'Pei nie krył się w cieniu Rot'hu... nadeszli ci, którzy zepchnęli nas w ciemności i na

wieki zakopali w ziemi. Przeżyliśmy dzięki asymilacji z naszą kochaną Isa'Pei. Ale im było mało. Pojawiły się Mit'sa, które polują na nas jak na zwierzęta, które kiedyś chadzały leśnymi ścieżkami. My żyjemy w ciągłym głodzie. Karmimy się jedynie sar'taka i pom'tensa. Ale oni... Oni chcieli mięsa. Gdy pojawiły się Mit'sa, nasi dziadowie sami składali ofiary, ale wielki Vol'mas przerwał łańcuch śmierci. Rozkazał zburzyć wioski i wybudować je pod ziemią. Każdy z Vol'sai... możesz tłumaczyć to na... kapłani, tak, każdy z nas kontynuuje dzieło Vol'masa. Niestety, nie możemy wciąż być pod ziemią. A Mit'sa zapuszczają się coraz dalej. W miejscu, w którym się teraz znajdujemy, nie było ich jeszcze, ale to kwestia czasu. Poruszają się wolno, niszcząc Isa'Pei; poruszają się i polują. Mit'sa to śmierć, nikt nigdy nie wyszedł żywy z wnętrza tego, jak to określiłeś, pojazdu.

– Nigdy?

– Nie będę cię oszukiwał. Vol'mas w swym dziele życia opisał Vor'gura – nieznanego, który postąpi na Isa'Pei. Vor'gura, który przeznaczeniem zostanie uratowany przed czeluściami Mit'sa. Vor'gura, który nie będzie nosił taraj pa'tei, nie będzie nosił skazy na twarzy.

– Myślisz, że jestem tym Vor'gurem?

– Nie wiem. Były okresy, że proroctwa Vol'masa ginęły pod kurzem, wielu z Vol'sai wątpiło w przepowiednie największego z kapłanów. Mój ojciec jednak wierzył i tę wiarę przekazał mnie. Jestem czwartym pokoleniem. Można powiedzieć, że na mojej zmianie ma się pojawić nasz Kir'ma.

– Kir..? – zapytał niepewnie potomek Eldów.

– Kir'ma. Mesjasz. Wierzymy w jego nadejście i katharsis ludu Isa'Pei. Dzięki wierze żyjemy, głodujemy, umieramy, rodzimy się i walczymy – Kaar odłożył od ust rurkę. – Jesteśmy tylko, a może aż, ludźmi. Przesyłając obce istoty, przysyłając Mit'sa, los skarcił nas za błędy, których dopuszczali się nasi dziadowie, zabijając się nawzajem, gwałcąc własne kobiety, nie pomagając tym, którzy potrzebowali pomocy. Zanim jednak narodzi się Kir'ma, Mas'taraj, czyli Taraj'pei – Wyzbyty Skazy, sprawi, że zamilknie wróg.

MOI'RA

"Widzę piękną kobietę. Ona jest matką Kir'my. I lzy widzę na twarzy, lecz nie są to lzy z bólu porodu."

"Proroctwa" Vol'masa – przekład na mowę Got'he popętnił Vol'kaar

Czas płynął. Maris spędzał go tylko z Vol'kaarem, ucząc się mowy i poznając kolejne fragmenty proroctwa Vol'masa. Potomek Eldów szybko nauczył się najważniejszych zwrotów w nowym języku, a już po kilkunastu lekcjach władał nim na poziomie dziesięcioletniego dziecka. Jadłospis nie był bogaty: najczęściej jakieś owoce, nazywane pom'tensa i kubek przezroczystego, pachnącego, ciepłego napoju. Od czasu do czasu, znajdował na tacy, którą ktoś przynosił mu podczas snu, kawałki białego mięsa. "To... ości. Nigdy nie dane mi było jeść ryby, ale musi to być rybnie mięso" – rozmyślał. Potem Vol'kaar powiedział mu, że są to sar'taki – pływające życie, które Peiczycy odnajdują w Wielkiej Wodzie: Isa'Mai. Kapłan uczył go również obyczajów i zachowań, pokazywał księgi, ryciny, mapy.

– Oto mapa, przedstawiająca Isa'Pei. Stworzył ją Vol'mas, ale jest uzupełniana przez kolejnych Vol'sai. Jest ich tylko sześć. Dwie znajdują się tutaj, pozostałe posiadają przywódcy plemion, o których już słyszałeś – Kaar rozłożył przed potomkiem płachtę o niedużej wielkości. – Tutaj, na północy, i tutaj, na południu, te przerywane krzywe oznaczają strefy, do których dotarły nasze oddziały zwiadowcze i ginęły w otchłaniach Mit'sa. Nie wiemy, co znajduje się poza tymi liniami, dlatego mapa kończy się na nich. Po prawej, na wschodzie, znajduje się Isa'Mai.

– Wielka Woda – wtrącił chłopak.

– Zgadza się – potwierdził starzec. – Nie widać jej końca. Gdy wyjdziemy z cienia Rot’hu, być może będziesz mógł wyprawić się z jednym z oddziałów. Zostawmy to jednak i wróćmy do mapy. Tu – Kaar ruchem dłoni powędrował na lewą stronę mapy – tu znajdują się góry, wielkie Góry Vol’tena. Pasma ciągnie się od dalekiego południa ku północy, przecinając się ze strefami.

– Co jest za górami?

– Nie wiemy – starzec zamyślił się, po chwili kontynuował. – Wielu próbowało się dowiedzieć, ale nikt nie powrócił. Ginęli w potężnym mrozie i powietrzu, którym nie można oddychać.

– A to? – Maris wskazał palcem miejsce, znajdujące się mniej więcej po środku pasma górskiego.

– To jest przełęcz Tar’maha – skwitował kapłan. – Wielki to był takar’daje – wojownik i odkrywca. Twierdził, że za górami znajduje się miejsce, w którym moglibyśmy żyć w pokoju, nie nękani przez okropne Mit’sa. Ciało jego odnalazł inny takar’daje, Valh’pur, zresztą miałeś, ha!, przyjemność go poznać, a wkrótce spotkasz się z nim. Można powiedzieć, że zawdzięczasz mu życie. A co do ciała Tar’maha, które widziałem... Straszne musiał przeżyć chwile. Spotkał w górach coś, co uśmierciło go, odrywając głowę.

– Jak więc go rozpoznano?

– Każdy z takar’daje nosi gon’rati z osobliwym znakiem wrytym na rękojeści. Gon’rati to broń, która służy nam od wieków. Ponad dwieście sztuk odnaleziono dawno temu. Sam nie wiem, kto odnalazł i gdzie. Dziś pozostało mniej niż sto gon’rati. Otrzymują je najlepsi wojownicy i odkrywcy.

– Chyba przekonałem się na własnej skórze, czym jest gon’rati – potomek potarł delikatnie miejsce, w którym nie było już śladu rany.

– Miałeś szczęście. Gon’rati wygląda może niepozornie, ale przy odpowiedniej technice uderzenie jest bardzo silne i uśmierca natychmiast.

Pewnego razu, kiedy Maris siedział w komnacie, usłyszał krzyki. Zerwał się z łóżka. Gdy wyszedł na korytarz, ujrzał kilkanaście osób biegnących w pośpiechu w stronę komnaty Vol’kaara. Jeden z Peicznyków zatrzymał się przy nim. Był to Don’rai, uczeń kapłana.

– Taraj’pei, szybko do Vol’kaara, nadciąga Mit’sa! – krzyknął z przerażeniem. Maris już doskonale rozumiał mowę Isa’Pei.

Bez słów dołączył do uciekających. Gdy znaleźli się w komnacie Vol’kaara, ten stał wyprostowany, rozmawiając z jakimś takar’dajem.

– Kochani – Vol’kaar przerwał rozmowę z mężczyzną, który natychmiast wybiegł – spodziewaliśmy się, że głodne Mit’sa będą wędrować w głąb naszych ziem. Musimy uciekać. Najbliżej nam do Karra’Gul, miasta plemienia Torsa’pei. Tam się schronimy.

– Mistrzu – jeden z uczniów przedarł się przez tłumek – na powierzchni pozostało kilkunastu z naszych, musimy ich ratować!

– Wiem – odparł brodac. – Wysłałem takar-daja, Tir’da, by im pomógł. Niestety, nic więcej nie mogę zrobić. Reszta wojowników udała się ku przełęczy Tar’Maha.

– Mistrzu – ciągnął dalej młodzieniec – Tir'da sam sobie nie poradzi. Pozwól mi, pomogę mu.

– To wielka odwaga z twojej strony, Don'rai, ale nie mogę cię puścić samego.

– Pójdę z nim.

Wszyscy zwrócili się ku osobie, która zdecydowała się zaryzykować życie.

– Ty, Taraj'pei? – Vol'kaar popatrzył na Marisa. – Wiesz przecież, że Mit'sa to śmierć. Chcesz pomóc tym, których nie znasz, których nigdy nie widziałeś? – "A Taraj'pei nie będzie się bał oddać życia za życie..."

– Chcę pomóc ludziom – odparł potomek. – Dalej, Don'rai, idziemy. Wskaż mi drogę.

– Mistrzu, pomogę im – przedarł się jeszcze jeden. – Tam jest moja siostra.

– Moi'ra – skonstatował Vol'kaar. – Dobrze, Moi'vor. A wy – zwrócił się do pozostałych – zbierajcie rzeczy, ruszamy ku Karra'gul.

– Załóż to – Don'rai podał Taraj'pei szaty. – Dzięki temu będzie ci ciepło.

Potomek nałożył czarne odzienie.

– To nałóż na głowę – wskazał Marisowi na leżący przedmiot. – Musisz – ciągnął – docisnąć do twarzy, wpięram pierwej ją tym mazidłem.

– Śmierdzi, co? – odezwał się Moi'vor. – Ha! Śmierdzi jak but, ale działa.

– Idziemy – skinął Don'rai. – Niech nas prowadzą duchy Vol'sai.

Gdy wyszli na zewnątrz, Maris stwierdził, że widzi w miarę dobrze, chociaż ciemności były niezmiennione od jego ostatniego pobytu na powierzchni, kiedy to Vol'kaar pokazał mu pięknego Var'tasara. Nowa szata robiła wrażenie – było mu w miarę ciepło, choć czuł, wdychając powietrze, że zimno nieustannie okalało Isa'Pei.

Początkowy marsz zamienili w bieg, kiedy usłyszeli trzask powalanych drzew. Mit'sa był coraz bliżej. Wreszcie ujrzeli światła. W dali, co chwila zwalając do ziemi kolejnych Peicyków, biegał nerwowo takar'daja, wymachując swym gon'rati. "To z pewnością Tir'da" – pomyślał Moi'vor.

– Taraj'pei – krzyknął w biegu Don'rai – pamiętaj, musisz jak najszybciej zbić osobę z nóg, by padła na ziemię. Potem zaciągasz ją do schronu. Każdy Var'tasar kryje pod sobą schron. I jeszcze jedno: staraj się nie myśleć o Mit'sa! NIE MYŚLEĆ! – tłumaczył, by wreszcie zakomenderować: – Rozdzielmy się!

Maris pobiegł na lewo. Przeskoczył kilka wystających z ziemi korzeni, przedarł się przez falę metrowych roślin i dopadł pierwszą osobę, która stała wpatrzona w wielgachny pojazd. Postać padła na ziemię. Potomek przypomniał sobie swoją przygodę i w jeden chwili złapał ją za nogi. Rozejrzał się błyskawicznie. "NIE MYŚLEĆ! Czemu?" W odległości dwudziestu metrów spostrzegł za sobą Var'tasara. Dumne drzewo różniło się od pozostałych, tak jak król różni się od podwładnych. Pociągnął leżącego Peicyka. Dotarłszy na miejsce, ujrzał wnękę o średnicy półtora metra. Bez namysłu wszedł do środka i pozostawił tam uratowanego.

– Tapa'se! – odezwał się głos, należący do kilkunastoletniego chłopca.

– Na kanu tapa – odparł Taraj'pei i wybiegł.

Na zewnątrz wciąż panował chaos. Mit'sa taranował kolejne drzewa. "Omija wielkie Var'tasary... NIE MYŚLEĆ!" Zauważył kolejną postać, stojącą nieruchomo w oczekiwaniu na śmierć. Zebrał siły i dał susa w tamtą stronę. Wtem usłyszał krzyk. Odwrócił się w biegu. Ktoś był wciągany przez strumień światła do wnętrza małego pojazdu, takiego, jaki kiedyś zatańczył nad głową potomka. Nie zawrócił. Kiedy dotarł do stojącej osoby, rzucił się na nią, tak że obydwójce padli na ziemię. Wyczuł, że nie jest to ktoś ciężki, więc wziął Peiczyka na ręce i ruszył w kierunku schronu.

Zostawiając za sobą szmery rozmowy uratowanych ludzi, udał się ponownie na pogorzelsko. Biegał to w jedno, to w drugą stronę, ale nikogo już nie znalazł. "NIE MYŚLEĆ!" Światła macały jego konturów coraz obficie. Wtem spostrzegł pobłyskujący przedmiot. Gon'rati. "Tir'da..." Uniósł broń. Poczł jak ciało przeszywa przyjemny dreszcz. Pobiegł do Var'tasara.

W środku panowała ciemność, ale czuł obecność osób, które uratował.

– Zapalcie pochodnię – powiedział w ich języku. – Musimy iść głębiej.

Za chwilę rozbłysło światło. Chłopiec przytulony był do... "To ona. Kobieta, która wyleczyła mi ranę..." Obydwójce mieli zdjęte maski. Maris jednym ruchem ręki ściągnął okrycie głowy.

– Taraj'pei...– zobaczyła trzymaną w ręku broń. – Skąd masz gon'rati?

– Nie czas na tłumaczenia – wziął od niej pochodnię. – Musimy uciekać.

– Nie! – sprzeciwiła się. – Musimy ratować pozostałych.

– Byli ze mną Don'rai i Moi'vor. Z pewnością kogoś uratowali.

– Moi'vor? – spytała. – Moi'vor to mój brat.

– To ty jesteś Moi'ra... – zrozumiał.

– Tak, ja – odpowiedziała urzekająco pięknym szeptem.

TAR MIT'SA

"I Mas'taraj będzie uchodził ku Kor'sa Kir'fa [Górom Śmierci i Życia]. I pozna, czym życie, czym śmierć oddycha."

"Proroctwa" Vol'masa – przekład na mowę Got'he popełnił Vol'kaar

Nigdzie ich nie ma – powiedział zdyszany Maris.

– Muszą tam być, trzeba sprawdzić wszystkie Var'tasary! – Moi'ra miała oczy przepełnione łzami.

– Sprawdziłem wszystkie pobliskie – odpowiedział. – Mit'sa są za nami, przed nami. Są wszędzie. Ale trzeba mieć nadzieję, Moi'ra.

Spojrzeli sobie prosto w oczy. Potomek zbliżył się do niej i objął ją spokojnym ruchem ręki.

– Nie martw się – ciągnął – to uczniowie Val'kaara. Znają te tereny.

– Co robimy? – przerwała mu, podnosząc wtuloną w ramie głowę.

– Nie mamy nic do jedzenia, chłopak nie wytrzyma – spojrzał na śpiącego opodal malca. – Jak mówiłem, za nami, przed nami... Wiesz jak dojść do Karra'Gul, o którym wspominał Val'kaar?

– Nie. Drogę zna tylko on. Można ją też odczytać z sekretnych map, ale my takiej nie mamy.

– Wiem, o jakich mapach mówisz, kiedyś pokazywał mi je mistrz. – "Sam nie mogę uwierzyć, że tak o nim mówię..." – Niestety, nie potrafię odtworzyć w pamięci całej drogi. Ale, i tak, Mit'sa... Podróżowalibyśmy chyba z... – dokończył własnym językiem – miesiąc.

– Mezzionc? – zapytała, niepewnie powtarzając pierwszy raz posłyszany wyraz.

– To w moim – zawahał się – ojczystym języku. – "Tyle czasu spędziłem na rozmowach z Kaarem, a nigdy nie zapytałem, jak właściwie określane jest tu czas." – W jaki sposób określacie czas?

– Czas? – zdziwiła się. – Czas to chwila, która właśnie minęła, bo chwile mijają bezpowrotnie. Mamy takie powiedzenie: jeżeli nie zabiję cię Mit'sa, zabije cię czas. Wiem jednak, co masz na myśli. Szukasz wymiaru czasu. Powiem ci więc, że takim wymiarem jest Roh'kadi.

– Roh'kadi... – "Pamiętam, jak kiedyś Vol'kaar wspominał, że pokaże mi rzekę, gdy skończy się Roh'kadi."

– Roh'kadi to cykl, na który składają się dwa okresy – Moi'ra wstała, wzięła pochodnię do ręki. – Zaczyna się, kiedy los lituje się nad nami i Rot'hu pojawia się na horyzoncie, potem Rot'hu znika i cienie pokrywają ziemię na długo – dziewczyna zgasiła pochodnię. – Wreszcie Roh'kadi kończy się, gdy na niebie ponownie rozświetlają promienie naszego słońca. Tak zaczyna się kolejne Roh'kadi.

– Co robisz? – zapytał dotykając jej dłoni po omacku.

– Nie mamy chwili do stracenia. Mam pomysł – zaczęła budzić chłopca. – Ruszamy ku przelęczcy Tar'maha.

Szli, omijając kolejne drzewa, z czujnością godną największego wojownika. Słyszeli za sobą huki walonych drzew, zgniatanych koron. Mit'sa było więcej, niż Moi'ra kiedykolwiek widziała i słyszała. "Oby tylko mój brat żył!" – myślała. Byli coraz bardziej zmęczeni i głodni.

– Już nie mogę – odezwał się chłopiec i padł na ziemię, wypuszczając z uścisku dłoń Moi'ry, która go prowadziła.

– Taraj'pei – krzyknęła do wiodącego potomka Eldów. – Taraj'pei, musimy odpocząć. Tak'san nie ma sił.

– Przepraszam, nie mogę – szepnął malec. Ogromne zmęczenie wyraźnie malowało się na jego twarzy, kiedy Moi'ra zdjęła mu maskę. – Mój ojciec – ciągnął chłopak – nie mówcie mu o tym.

– Nie martw się – skinął Maris – i tak jesteś dzielny. Z pewnością zostaniesz kiedyś wielkim takar'dajem. Teraz wejdź mi na plecy. Musimy iść dalej, bo Mit'sa są zbyt blisko.

Tak'san wskoczył Wyzbytemu Skazy na plecy, nogami opasał biodra, rękoma łapiąc za ramiona. W ten sposób pomaszzerowali dalej.

– Mam nadzieję, że wiesz dokąd idziemy? – zapytał Taraj'pei.

– Tak. Na stokach gór Vol'tena byłam już kilka razy. Idąc tędy, na północny-zachód, dotrzemy do miejsca, z którego widać będzie przełęcz. Jak wiesz, kilku z naszych takar'dajów ruszyło w tamte strony przed napaścią Mit'sa. Oni nam pomogą.

– Tylko czy dotrzemy do przełęcz?

Zrobili sobie niedługi postój. Chłopcu trochę się polepszyło, więc ruszyli dalej. Gdy mijali kolejne drzewa, Maris spostrzegł na jednym z nich coś, co przykuło jego uwagę.

– Co się stało? – Moi'ra przystanęła koło Marisa. – Czemu się zatrzymałeś?

Na pniu ujrzała podłużną kreskę zdjętej kory. Taraj'pei stał nieruchomo. Rozejrzył się.

– Taraj'pei – rzekła pytająco.

Nagle człowiek o pozbawionej blizny twarzy zerwał się z miejsca. Moi'ra wzięła Tak'sana za rękę i podążyła jego tropem. Minąwszy kilka drzew, spostrzegła Marisa pochylonego nad wyrwą w ziemi. Podeszła bliżej. Potomek miał zdjętą maskę.

– Co się stało? – na twarzy Vor'gura ujrzała strumyki łez.

Spojrzał na nią, poczym ponownie zwrócił się w kierunku wyrwy.

– Aaa... – szept Moi'ry niósł ze sobą przerażenie. W dziurze ujrzała rozkładające się zwłoki. Czaszka była dobrze widoczna. Lekki wiatr poruszał kryształkami piasku, które gdzieniegdzie jeszcze spoczywały na ciele. – Kto to?

Taraj'pei odwrócił głowę. Nieopodal zobaczył kulę. "Kapsuła!"

– Chodźcie! – krzyknął.

Wszedł do środka.

– Komputer – odezwał się w ojczystym języku – tu Maris.

Do kapsuły weszła Moi'ra z chłopcem.

– Komputer! – powtórzył – szlag by cię trafił, odezwij się.

Peiczycy byli zaskoczeni mową, którą teraz posługiwał się Taraj'pei.

– Cholera... – skwitował.

Zerknął na blat. Zobaczył kapsułki. Szybko wyjął z szafki zapasową strzykawkę. Gdy naładował, podszedł do kobiety i powiedział:

– Zrobię wam... – brakowało mu słowa w peiczycym języku – ukłuję was. Nie będzie bolało, a dzięki temu nie będziecie głodni.

Maris już chciał wzięć rękę Moi'ry, ale ta nagle kopnęła w strzykawkę i złożywszy obie pięści, uderzyła potomka z całej siły w twarz.

– Jesteś Tar Mit'sa! – złapała chłopaka i błyskawicznie wybiegła.

– Czekaście, to nie tak, nie jestem przyjacielem Mit'sa! – odprowadzał ich wzrokiem. – Czekaście!

Natychmiast odwrócił się. Złapał strzykawkę, kilka kapsułek wsunął do kieszeni kombinezonu, porwał odłożony na bok gon'rati Tir'da i prędko wybiegł z kapsuły, dając susa w kierunku, w którym ostatni raz widział uciekających. W biegu wstrzyknął sobie kapsułek. Po chwili nabrał wigoru i sił, i bieg jeszcze szybciej. Powoli uzmysławiał sobie, że od momentu, kiedy pierwszy raz wyszedł na ciemności, widział po trzykroć lepiej. Teraz ciemność prawie w ogóle mu nie przeszkadzała; gdzieś tam świeżały dwie postaci. Widział je doskonale. Był już kilka metrów od nich.

– Zostaw nas! – krzyczała Moi'ra – zostaw!

– Moi'ra, proszę, wszystko ci wytłumaczę – wrzeszczał w biegu. – Zatrzymajcie się.

Wtem mały padł na ziemię. Widocznie bieg wyczerpał go do tego stopnia, że zemdlał z bezsilności. Moi'ra natychmiast złapała leżącego, podciągnęła do siebie i skuliła wraz z nim przy pniu drzewa.

– Nie zbliżaj się! Nie zabijaj nas!

– Moi'ra – tłumaczył – nie jestem żadnym Tar Mit'sa. Proszę... – podał jej gon'rati. – Zaufaj mi. Jestem przyjacielem. Vol'kaar zaufa.

– Kim jesteś? Co to za pojazd? Co to za zwłoki? Mów!

– Jak widzisz, nie mam blizny. Stąd nazywacie mnie Taraj'pei. Nie jestem z tej planety. Ta kula mnie tu przywiozła. Spadłem z nieba, a wraz ze mną spadła z nieba osoba, którą widziałeś. – zamyślił się. – Była to kobieta. Tak piękna jak ty – spojrzał na nią czule – nie była dla mnie, jak wy to nazywacie, soze'tepai, ale była bardzo bliska memu sercu – wyjął z kieszeni kapsułki i podał jej strzykawkę. – Możesz to zniszczyć – kontynuował – są tutaj kapsułki, które dają ciału dużo energii, tak jakbyś zjadła kilka najbardziej dorodnych sar'taków.

Strzykawka, chociaż nie widać było igły, wyglądała dla niej bardzo podejrzanie. "Może to pułapka... Nie. Mówi prawdę. Widzę to w jego oczach. Ma takie piękne oczy..."

– Chyba nie widziałeś dorodnych sar'taków – powiedziała i na ustach obu pojawił się delikatny uśmiech. – Dobrze, możesz nas nakarmić swoim urządzeniem. Ufam ci.

PRZEŁĘCZ TAR'MAHA

Podróż ciągnęła się. Z trzech pozostałych kapsułek żywili się trzy razy, bo Maris postanowił ustawić strzykawkę, żeby podawała jednorazowo jedną trzecią kapsułki. Tak wytrzymali dość długo, ale potem znowu zaczęli im się dawać we znaki głód i brak choćby odrobiny wody. Byli już zrezygnowani, gdy las zaczął robić się mniej gęsty, a w końcu ukazały im się ogromne góry, w wyższych partiach pokryte śniegiem, o czubkach zatopionych w smugach chmur.

– Kor'sa Kir'fa! – powiedziała Moi'ra. – Ten widok zawsze onieśmiela. Głowy do góry, jesteśmy uratowani. Stąd widać już przełęcz – wskazała palcem na niewielki przesmyk między dwoma stokami.

– No, Tak'san, słyszysz? – skinął Taraj'pei – głowa do góry, dosłownie – i wszyscy roześmiali się głośno.

Dojście nie zabrało im wiele czasu. Pobudzeni nadzieją na przetrwanie szli zwawo. Przełęcz pokryta była mgłą. Po obu stronach, ściany były prostopadłe do powierzchni. Pod stopami nie było śniegu, chociaż Maris bardzo chciał go dotknąć.

– Co teraz? – zapytał.

– Teraz musimy iść dalej, trzymając się prawej skały. Niedaleko stąd będzie wejście. To jaskinia, w której przez wiele lat mieszkał Tar'mah, a teraz żyją w niej ci takar'dajowie, którzy zapuszczają się w te strony.

– Chodźmy więc.

Szli, trzymając się blisko ściany. Druga powoli przeistaczała się w stok. Gdzieniedzie odchodziły z niej ścieżki. Było tutaj nieco widniej niż w lesie. Wreszcie dotarli do wnęki.

Ktoś wyskoczył ze środka. Zwinnym ruchem odebrał Taraj'pei gon'rati i odskoczył na bok. Podniósł broń do góry, puścił, złapał w połowie. Odczytał znak przynależności.

– Tir'da? – przemówił.

Maris zdjął maskę. Za chwilę uczyniła to Moi'ra i chłopiec.

– Taraj'pei... Moi'ra... – skonstatował. – Co wy tu robicie?!

– Szukamy pomocy, Valh'pur – odpowiedziała cichym głosem.

– Spokojnie, Moi'ra, jeszcze raz, ale spokojnie – powiedział Valh'pur.

Jaskinia była duża, oświetlona kilkoma pochodniami. Skalne schody prowadziły na górę; Maris zaobserwował również dwa odosobnione otwory, które również musiały dokądś prowadzić, a także drewniane drzwi z wyrytymi znakami. Oprócz Valh'pura, przy ognisku siedziało jeszcze dwóch mężczyzn z gon'rati umieszczonymi w specjalnych pochwach na plecach – gotowali coś na parze.

– Daj jej już spokój – przerwał nieoczekiwanie Maris. – Widzisz, że jest wyczerpana. Co ma więcej powiedzieć?

– Taraj'pei... – Valh'pur spojrział na trzymany gon'rati Tir'da. – Wiesz chyba, że większość rady plemienia była przeciwna twemu życiu?

– Vol'kaar pozwolił mi pozostać w jego siczy.

– Vol'kaar to fanatyk – stwierdził poruszony takar'daje. – Gotowy poświęcić wszystko dla tego, co znajduje się w starych pismach. – "Tak jak poświęcił kiedyś mego brata..."

– Wiem o twoim bracie – Taraj'pei wstał.

– Aha, więc nasz wspaniały mistrz opowiedział ci o wszystkim – Valh'pur spojrział na jednego z siedzących przy ognisku. – Vir'tampo, przyprowadź chłopca.

Takar'daje wstał od ogniska i ruszył schodami na górę. Moi'ra przybliżyła się do Marisa.

– Valh'pur, bądź rozsądny – powiedziała. – Przecież Vol'kaar cię wychował.

– I zabił we mnie to, co wychował. Kiedyś oddałbym za niego życie... – popatrzył w stronę Vir'tampo, który schodził już z chłopcem. – Proszę bardzo. Chłopcze, powiedz to, co mi mówieś.

– Ja... – wystraszony Tak'san spojrział na posępną twarz Valh'pura i na twarz Taraj'pei, która tryskała sympatią i współczuciem – ja niewiele pamiętam.

– Mów, co pamiętasz! – krzyknął takar'daje.

– Uciekaliśmy przed Mit'sa – rozpoczął niepewnie – i natknęliśmy się na kulę, w której były jakieś tang'tanga sai. Moi'ra wystraszyła się, bo myślała, że Taraj'pei chce nam coś zrobić, ale potem...

– Starczy, starczy już – przerwał Valh'pur. – Doskonale. Koledzy – powlókł wzrokiem po reszcie takar'dajów – wielki Mas'taraj ukochanego Vol'kaara jest niczym innym jak Tar Mit'sa. To oczywiste!

– Mylisz się – przerwała mu Moi'ra. – Dzięki Taraj'pei żyjemy, dzięki niemu dotarliśmy do przełęczy.

– A jak wytłumaczysz to? – Valh'pur uniósł gon'rati Tir'da.

– Tir'da został pochłonięty i pozostawił gon'rati, aby jego duch wspomógł innego takar'daje – odpowiedziała.

– Chcesz mi powiedzieć, że jeden z najlepszych wojowników poległ przed Mit'sa? Tir'da uratował w swym życiu setki istnień, był mistrzem techniki posługiwania się gon'rati. Ja myślę... – zawahał się – ja myślę, że cały ten Taraj'pei to jedno wielkie oszustwo.

– Sam nie wierzysz w to, co mówisz, Valh'pur! – Moi'ra wstała, zbliżyła się do takar'daja. – Popatrzcie na niego, przyjaciele – zwróciła się do pozostałych wojowników – czyż nie jest szalony? Tak nie zachowuje się takar'daje, tylko obrażony na duchy Vol'sai renegat!

– Milcz, surkinsa! – Valh'pur podniósł lewą rękę i uderzył Moi'rę, tak że kobieta upadła na ziemię.

– Valh'pur! – krzyknął któryś ze ślęczących przy ognisku takar'dajów.

W tym momencie jednak, błyskawicznie reagujący Maris, z impetem uderzył stojącego Valh'pura. Obydwaj legli na ziemię. Gdzieś brzdęknął gon'rati Tir'dy. Takar'daje, wprawiony w technikach walki wręcz, odchylił się lekko i z siłą kopnął przeciwnika. Taraj'pei poturlał się. Valh'pur wstał. Majestatycznym ruchem wyciągnął z pochwy swój gon'rati.

– Nie jesteś żadnym Mas'tarajem! Jesteś zwykłym ścierwem!

Skoczył ku Marisowi, jednocześnie wyprowadzając cios gon'rati. "Tak jak mnie uczono" – pomyślał potomek. "Jestem człowiekiem doskonałym!" Krzyk myśli przeobraził się w rzeczywisty ruch, dzięki któremu umknął przed ciosem i znalazł się po przeciwnej stronie Valh'pura.

– Taraj'pei! – krzyknęła Moi'ra – łap!

Złapał gon'rati. Po raz kolejny przeszło go uczucie obecności jakiejś niezrozumiałej siły. "Teraz pojmuje. Tir'da..." Ale Valh'pur nie zrezygnował: ze złością wymalowaną na twarzy stał naprzeciwko potomka. Maris, jakby zahipnotyzowany, przyglądał się połyskującej broni, uczył się jej każdym spojrzeniem. Takar'daje już zbliżał się wolnym krokiem. Wtem Taraj'pei podrzucił gon'rati, złapał, obrócił kilka razy i skoczył ku Valh'purowi. Ten nie spodziewał się ataku. Zdążył nadstawić swoją broń, by pochłonać energię uderzenia i ochronić ciało. Dalej walka potoczyła się błyskawicznie. Maris schylił się, złapał Valh'pura za rękę, siłą obrócił, podstawiając nogę. Ten potknął się, padł, wypuścił z rąk gon'rati. Narzędzie Tir'dy w rękę Wyzbytego Skazy już lśniło przed jego oczyma.

W tym samym momencie jeden z takar'dajów chciał wydobyć gon'rati i ruszyć na odsiecz poległemu kompanowi, ale drugi ze stojących ruchem dłoni powstrzymał go.

– Valh’pur! – powiedział – wiesz, co mówi kodeks.

– On nie jest takar’daje! – tłumaczył się pokonany.

– Został takar’daje z momentem, kiedy poprzez znaleziony gon’rati duch walki Tir’dy przedostał się do jego krwi – rzekła Moi’ra. – Zaiste, widać to było w ruchach Taraj’pei.

– Vir’tes, przecież on zginie – ze smutkiem powiedziała Moi’ra, patrząc jak Valh’pur oddala się w górę przełęczy Tar’maha.

– Sam dokonał wyboru – odpowiedział takar’daje. Był to starszy mężczyzna o przyjemnych rysach twarzy i przenikliwym spojrzeniu.

– Co teraz? – zapytała Moi’ra.

– Musimy przeczekać. Wkrótce – spojrzał na niebo – kończy się Roh’kadi, wielkie Rot’hu oświetli drogę Mit’sa i nie będzie szans dojść do któregoś z miast.

"Wreszcie ujrzę słońce..." – pomyślał Maris.

– Przez ten czas, ja i mój brat, Vir’tampo, zabierzemy młodego Tak’sana w głąb jaskiń, by tam poddać go szkoleniu takar’daje i oddać w jego ręce gon’rati Valh’pura – na młodej twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia. "Zawsze o tym marzyłem..." – pomyślał chłopiec. – Wy natomiast – kontynuował Vir’tes – pozostaniecie tutaj. Zapasów jedzenia jest sporo, trzeba będzie iść po wodę do ujęcia Mir’kart i po drewno na opał w dolinę. Dam wam odpowiednie ryciny z drogami. Jeżeli będziecie mieli ochotę zrobić sobie wycieczkę w góry, odradzam, ale na wszelki wypadek pozostawię wam ryciny znanych szlaków. Nie próbujcie nowych ścieżek. Są zdradliwe, bywają śmiertelne.

Przez chwilę stali w ciszy. Vir’tes wciąż wpatrywał się w niebo. Nagle powiedział:

– Zaczęło się. Rot’hu wyłoni się, by przypomnieć o przeszłości. Chodźcie!

Pobiegli kawałek w kierunku stoku góry, tak aby mieć jak najlepszy widok. Przed nimi rozpościerała się teraz dolina z zielonymi lasami. Stali twarzami ku wschodowi. "Gdzieś tam płynie Isa’maj, Wielka Woda..." – skonstatował Maris. Pojawiły się pierwsze, bojaźliwie wyglądające zza horyzontu, leciutkie promienie. Nastąpiła pół-jasność. Rot’hu przestało się wynurzać.

– Wspaniały to widok, doprawdy niezwykły! – powiedział Vir’tampo.

"Po tak długiej nocy, widok rzeczywiście jest nadzwyczajny..."

SOZE&RSQUO;TEPAI

Czas płynął. Sławna jaskinia, w której ongiś Tar’mah piekł sar’taki, teraz stała się domem dla dwójki, którą wiąży losu sploty nierozzerwalnie, kierując ku nieznannej przyszłości.

Dzięki pracom Moi’ry, miejsce stało się bardziej przyjazne. Porozwieszała na ścianach ukryte w skrzyniach płachty, posprzątała niepotrzebne sprzęty i rupiecie, ustawiła w odpowiednim miejscu drewniane baliki, stoliki, łoża. Maris w tym czasie głębiej poznawał pismo, zaczytywał się w znalezionych rycinach, księgach, kodeksie takar’dajów.

Większość wolnego czasu spędzali jednak razem. Potomek opowiadał o swej ojczystej planecie, o historii Ziemi, życiu. Moi'ra wyjaśniała wątpliwości Wyzbytego Skazy dotyczące kodeksu, mówiła o miastach, które znajdują się pod ziemią, o hierarchii i rządach Peiczyków.

Wspólnie wybrali się po wodę do ujęcia w Mit'kart. Droga minęła im szybko; kilka słów, przelotne spojrzenia, przyjazne muśnięcia. Woda była pachnąca, smaczna, krzepiąca.

Nie omieszkali skorzystać ze wspólnej wycieczki po drzewo. Maris chciał ucinać żywe rośliny, ale Moi'ra kategorycznie zabroniła:

– Chcesz być Mit'sa dla drzew? – zapytała. – One też mają prawo do życia.

Zebraли więc tylko leżące na ziemi gałęzie. Wszystko ciągnęli do jaskini na płachcie specjalnie przygotowanej przez któregoś ze sprytniejszych takar'dajów.

Słońce wciąż wyglądało zza horyzontu.

– Myślę, że tym razem nie przesadzisz z kista'ko! – ze śmiechem Taraj'pei skomentował poczynania Moi'ry, która przygotowywała posiłek.

– Ja myślę, że jutro ty będziesz wygrzewał sar'taki – odrzekła równie wesoło i urwała kawałek ryby na spróbowanie. – Jeśli masz ochotę sam dodaj przyprawę.

– Nie, tepai, wierzę w twoje umiejętności, poza tym...

– Dlaczego – przerwała mu – nazwałeś mnie tepai? – "Chciałabym, żeby powiedział prawdę..."

– Przepraszam – powiedział. – Po prostu brakuje w waszym języku słowa... – "Kochana..." – słowa, które mogłoby opisać, kim stałaś się dla mnie.

– My uznajemy szczerłość za najważniejszą cechę drugiego człowieka – odrzekła. – Szczerłość ma swój odbłask w zaufaniu, tak jak Rot'hu odbija się w lustrze Isa'mai.

– Będę więc szczerą, Moi'ra – przyklękła przy niej. – Odkąd ujrzałem cię w komnacie, gdzie opatrywałaś mi ranę, twoja osoba zawładnęła mym umysłem. Nigdy nie pytałem cię, czy jest w twoim życiu jakiś soze'tepai, ale...

– Nie ma...

Spojrzeli sobie w oczy. "Jest taka cudowna..." "Jest niezwykłym mężczyzną, coś jednak ukrywa..."

– Powiedz mi, Taraj'pei... – odwróciła głowę w stronę ognia, by nie patrzeć mu w oczy. – Powiedz, kim jesteś?

– Przecież już mówiłem ci skąd pochodzę.

– Nie, ja chcę wiedzieć, kim naprawdę jesteś – raz jeszcze spojrzała na niego.

"Nie potrafiłbym jej skłamać, ukrywać przed nią, chociaż i na to znam doskonałe sposoby" – pomyślał.

– Chcesz znać prawdę, więc powiem ci, kim jestem – teraz on uciekł od jej wzroku. – Jestem nikim. A właściwie: urodziłem się nikim. Moi rodzice byli sztucznie stworzonymi istotami – ludźmi doskonałymi. Jako ich potomek od narodzin byłem edukowany, szkolony, trenowany do misji.

– Misji?

– Moja misja polega na znalezieniu planety i niesienia wśród jej mieszkańców słowa naszego ducha. Tak jak wy niesiecie słowa waszych Vol'sai.

– Teraz znalazłeś planetę, na której masz szerzyć to słowo?

– Nasi przełożeni nie mają pojęcia, że negujemy to słowo, uważając za błędne jego interpretacje – Maris dotknął delikatnie ręki kobiety. – Dotykam twą dłoń i wiem, że ona tu jest.

– A w tego ducha wierzysz? – zapytała zaciekawiona.

– Tak jak wierzę, że czuję do ciebie, tepai – musnął delikatnie jej dłoń ustami. – Czy ty...

– Tak – po raz trzeci i ostatni tej chwili przerwała mu – Moi'ra soze'tepai Taraj'pei...

Uniósł ją na rękach i skierował się na górę. Nie protestowała. "Sam nie wiem, co robię..." "Przy nim czuję się bezpieczna..." "Kocham ją..." "Soze'tepai Taraj'pei..."

Legli na łożu. Chwilę patrzyli sobie w oczy. Wreszcie Taraj'pei dotknął ustami jej szyi, a następnie powędrował w kierunku pięknych, wilgotnych ust. Pocałunek był namiętny i długi. Ocknęli się z miłosnego letargu.

– Co chcemy zrobić? – spytał drżącym głosem.

– Chcę być z tobą... – odpowiedziała szeptem.

"Nie mogę tego zrobić! Ostrzegali nas o konsekwencjach połączenia różnych DNA!"

Moi'ra zdjęła mu koszulę i poczęła całować jego ciało.

"A być może to kolejne kłamstwo Gildii, kolejny ślepy zaułek..."

Zrzuciła z siebie szatę, ukazując przed potomkiem swe wdzięki w całej okazałości.

"Jest taka piękna... Jest kobietą, z którą chcę spędzić resztę życia..."

Położył ją na plecach.

"Zakazany owoc smakuje najlepiej..."

TIS'TAVA

"Moje widzenia to prawda doskonała, ale prawda niepełna. Przerazająca jest otchłań i ciemność, które teraz zawładnęły mym umysłem. Wiem, że jestem na krawędzi życia i śmierci, i za moment zapadnę w czasie. Mimo wszystko nie znam przyszłości, choć dane mi było ją ujrzeć. Śmierć jest przerażająca.

Fragment zakazanego przez Bractwo Vol'sai "Epilogu Vol'masa"
– przekład na mowę Got'he popełnił Vol'kaar

Drzwi prowadzące do jaskiń, w których szkolono młodych chłopców na wojowników, otwarły się niespodziewanie. Moi'ra i Taraj'pei spożywali właśnie sar'taki. Najpierw ukazał się Vir'tes, potem Vir'tampo. Zamknęli za sobą drzwi. Twarze ich były brudne, zarośnięte i zmęczone. Ubrania podarte, ciała wychudzone.

– Moi'ra – odezwał się Vir'tes – możesz przygotować nam posiłek?

– Co z chłopcem? – spytała.

Wojownicy popatrzyli na siebie. Maris zrozumiał. Wstał i objął kobietę.

– Co z Tak'sanem?! – krzyknęła. "Nie! Był taki młody i dzielny!" – Co mu zrobiliście?!

– Nie przeszedł próby – odparł ze wzruszeniem Vir'tampo.

– On... nie żyje? – spytała.

– Tak – potwierdził Vir'tes. – Wkrótce wyruszamy. Zbierzcie najpotrzebniejsze rzeczy.

– Dokąd idziemy? – zapytał Taraj'pei.

– Do Karra'gul.

Szli zboczem gór. Nie było specjalnie ciemno, a może to Maris widział coraz lepiej w ciemności? Szedł blisko Moi'ry, czasami łapał ją za rękę. Nie chcieli na razie zdradzać łączącej ich miłości. Postanowili, że najpierw porozmawiają o tym z Vol'kaarem.

– Coś cię dręczy, miła – powiedział do niej.

– Nie, nic... – skłamała.

– Widzę przecież – nie rezygnował. – Co ci jest?

– Mój brat... – zatrzymała się. – Muszę wiedzieć... – łza spłynęła po jej ślicznym policzku. – Muszę wrócić do siczy Vol'kaara!

– To niemożliwe – Vir'tes był już przy nich. – Musimy iść do Karra'gul. Jeżeli Mit'sa pojawiły się w siczy Vol'kaara, to granice się przesunęły. Jesteśmy bezpieczni tylko w mieście, a dotrzemy tam żywi jedynie tym zboczem.

– Nieważne. Ja idę – zdecydowała.

– Nie – Taraj'pei powiedział z przekonaniem. – Ja pójdę.

– Taraj'pei, nie znasz drogi, nie pora...

– Chłopak zginął poddany jakiejś próbie, bo chciał zostać takar'dajem. A ja? – popatrzył na nich pytająco. – A ja mam być takar'dajem, bo uratowałem komuś życie?

– Taki jest nasz kodeks – stwierdził Vir'tes.

– Zatem ten kodeks jest niesprawiedliwy – odrzekł potomek. – Pójdę tam i niech to będzie moja próba – wyjął z torby maskę i nawilżacz do twarzy.

– Idę z tobą – rzuciła Moi'ra.

– Ja z nim pójdę – powiedział Vir'tampo, a wszyscy popatrzyli na niego ze zdziwieniem. – Nie patrzcie tak na mnie. Gdy Taraj'pei pokonał Valh'pura, chciałem złamać kodeks i zabić go. Chcę zmazać z siebie tę brudną myśl.

– Niech i tak będzie – rzucił z zadowoleniem Vir'tes. "Zrozumiał błąd. Jestem z niego dumny" – pomyślał i powiedział: – Ja i Moi'ra ruszamy do Karra'gul. Taraj'pei i Vir'tampo idą do siczy Vol'kaara. Podzielmy się pożywieniem i wodą. Tutaj macie mapę, dzięki niej bez problemu traficie z siczy do miasta. Ja stąd znam drogę na pamięć. A teraz ruszajcie.

Zarzucili torby na plecy i skierowali się w stronę gęstego lasu.

– Pożegnaj się z nim – zwrócił się Vir'tes do Moi'ry. – Możesz już go nigdy nie zobaczyć.

Spojrzała na niego zdziwiona oczami pełnymi łez.

– Miłość jest może niewidzialna, ale opętanych miłością poznaje się z daleka. No, dalej, bo ci ucieknie – uśmiechnął się serdecznie.

– Taraj'pei! – krzyknęła.

Maris odwrócił się i ujrzał biegnącą w jego kierunku Moi'rę. Zrzucił torby. Podbiegli do siebie i mocno objęli.

– Kocham cię, Taraj'pei.

– Ja też cię kocham, Moi'ra.

– Muszę ci coś powie...

Delikatnie musnął palcem jej ust. Potem je pocałował.

– Pamiętaj o mnie, jeżeli nie wrócę.

– Musisz wrócić, musisz koniecznie żyć. Tu nie chodzi tylko o mnie – mówiła subtelnym szeptem.

– Moi'ra, ja nie jestem waszym mas'tarajem.

– Nie o to chodzi – odpowiedziała. – Musisz żyć, bo... – wahała się – musisz żyć, bo dziecko musi mieć ojca...

– Dziecko..? – serce zaczęło mu bić szybciej i głębiej.

– Tak. Jestem tis'tava – odparła.

Tysiąc myśli topiło się w morzu radości, która niespodziewanie owładnęła umysł doskonałego człowieka. "Jest w ciąży.. To.. Będę... DNA... Mutant... Gildia... Kłamstwa... Dziecko... Dziecko... Gildia... Kłamstwa... Mutant... Jest w ciąży... Ojcem... Co ja zrobiłem?!"

– Dlatego musisz żyć – dokończyła. – A teraz już idź. Stań się prawdziwym takar'dajem.

– Moi'ra – nie mógł powstrzymać łzy, która spłynęła mu po policzku – muszę ci coś ważnego powiedzieć... Muszę...

– Nie – zaprotestowała. – Już nic nie mówmy, kochany. Idź.

"Niczego nie mogę być pewien. Może lepiej jej nic nie mówić. Skrzywdziłem ją, nigdy sobie tego nie daruję."

OTCHŁAŃ

– Już niedaleko – stwierdził Vir'tampo – jeszcze trochę i będziemy na miejscu.

– Słyszysz? – dochodził ich dobrze znany dźwięk. – Mit'sa – stwierdził Taraj'pei.

– Blisko, za blisko – denerwował się Vir'tampo. – Prędko, do Var'tasara. Widzisz? – wskazał palcem. – Tam, biegiem!

Pobiegli w stronę majaczącego w ciemności Var'tasara. Byli już nieomal w środku, gdy wynurzyły się światła. Maris stanął, ale Vir'tampo natychmiast złapał go za rękę i wpadli do podziemnej jaskini. Vir'tampo zapalił pochodnię. Ziemia drżała. Huk walących się drzew był przeraźliwy.

– Co robimy? – spytał Wyzbyty Skazy.

– Czekamy – odpowiedział Vir'tampo. – Musimy czekać.

Wtem ktoś wpadł do jaskini. Stanął jak wryty, gdy ujrzał dwóch takar'dajów wewnątrz. Nie miał na twarzy maski.

– Moi'vor?! – Maris rozpoznał brata Moi'ry. Ściągnął maskę – prawie zapomniał, że ją nosi.

– Taraj'pei! – krzyknął. – Ty żyjesz!

– A jakże – potomek roześmiał się i uściśnił sobie dłonie. – A to Vir'tampo.

Vir'tampo ściągnął maskę i skinął głową. W przeciwieństwie do Taraj'pei, ten był śmiertelnie poważny.

– Jaka jest sytuacja? – zapytał.

– Nie jest dobrze – z ust Moi'vor zniknął uśmiech, a twarz splątał smutek. – Mit'sa są wszędzie. Vol'kaar wysłał nas w te rejony, żebyśmy szukali ciebie – zwrócił się do Taraj'pei. – Nie mógł pogodzić się z myślą, że nie żyjesz. Wszyscy myśleliśmy, że Mit'sa cię dopadły, tak jak dopadły wtedy innych. Przeklęci. Oczy zaszły mu łzami. – Zabrali ją!

– Kogo? – spytał Vir'tampo.

– Moją siostrę.

– Moi'vor – przemówił Maris – Moi'ra żyje.

Chłopak podniósł głowę. Otarł łzy rękawem.

– Jak to żyje?

– Żyje i ma się dobrze – ciągnął Maris. – Teraz pewnie jest już niedaleko Karra’gul.

– Żyje? Nie mogę w to...

– Potem – przerwał Vir’tampo. – Ilu was jest?

– Dziesięciu – odparł Moi’vor. – Było dziesięciu. Teraz nie wiem ilu. Mit’sa...

– Zostań tu. Taraj’pei – rzekł do potomka – przyszedł czas na twoją próbę i na moje rozgrzeszenie.

Taraj’pei założył maskę i skinął głową na znak, że jest gotowy.

Na zewnątrz hałas był jeszcze większy. Promienie światła były wszędzie, przecinały każdy cal powietrza i ziemi. Na pierwszy rzut oka Maris naliczył trzy ogromne pojazdy lewitujące w różnych stronach.

– Rozdzielmy się, Vir’tampo.

– Tak – Maris już miał biec, gdy Vir’tampo złapał go rękaw – jesteś prawdziwym takar’dajem, Taraj’pei, bo chcesz ratować życie za życie. Może to prawda, w tych księgach. Kto wie. Powodzenia, bracie!

– Powodzenia!

Pobiegli w przeciwnych kierunkach. Taraj’pei myślał o tym, co powiedział Vir’tampo, gdy dostrzegł nieruchomą postać, nad którą już wisiał pojazd. Dał susa, wyjął gon’rati i umiejętnie uderzył wciągana osobę. Ta wypadła ze świetlistego kręgu i runęła z impetem na ziemię. Błyskawicznie uniósł ją i zarzucił jak worek na plecy. Najszybciej jak mógł, pół-biegiem, kierował się w stronę Var’tasara. "Ciężki... Nie myśleć... Czym są te cholerne Mit’sa... Nie myśleć... Po co zabierają tych biednych ludzi... NIE MYŚLEĆ!" Nagle jakieś światło uderzyło go prosto w twarz. Zamarł w miejscu. Wisząca na plecach osoba, zsunęła się. Stał nieruchomy. "Co się dzieje? Pomocy... Nie mogę się ruszyć!" – nie mógł jednak wydobyć z siebie żadnego słowa. Mięśnia zastygły. Zaczęło mu się kręcić w głowie. Usłyszał pojazd nad głową i dźwięk, który przeszył jego świadomość. Dostrzegł w oddali biegnącą postać, gon’rati połyskiwało majestatycznie. "To... to... może... aaa... może... wir... tampo... nie... co... dzieje... aaa." Czuł jak jakaś siła unosi go do góry. Półświadomy obserwował otaczające go światło. Był już dobre trzy metry nad ziemią. Vir’tampo się spóźnił. Maris wypuścił jeszcze trzymany w ręce gon’rati, który swobodnie upadł na ziemi. Światło zamarło, właz zamknął się. Taraj’pei zniknął. Vir’tampo stał i patrzył, jak pojazd, który porwał ciało Wyzbytego Skazy oddala się, by ostatecznie zniknąć w otchłani Mit’sa.

W MIT’S A

Wiedział, że wciąż żyje. Nie mógł unieść powiek, ani ruszyć jakimkolwiek mięśniem. Czuł, że znajduje się w ruchu, że albo sunie po czymś, albo jakaś siła unosi go w powietrzu. Myśli miał zmaćcone. Serce biło rytmicznie, ale bardzo, bardzo wolno.

– Dawaj następnego, Frank! Kurwa mać, rzygam już tą robotą!

– Nie narzekaj, lepsze to niż zapierdalać w kopalni. Ty! Zobacz!

– Daj go tu!

Zatrzymał się. Ktoś złapał jego twarz, odwrócił w prawo, potem w lewo.

– Nie ma blizny i w ogóle jakiś dziwny jest.

Palce dotknęły jego twarzy. Powędrowały do oczu i uniosły powiekę.

Ujrzał dwóch ludzi przypatrujących mu się ze zdziwieniem. Byli to może czterdziestoletni mężczyźni. Twarze mieli zarośnięte i noszące znaki alkoholowego przepicia. Nie dostrzegł blizn. Jeden palił papierosa.

– Ruszył gałką – skonstatował jeden.

– Eee, słyszysz mnie? – zapytał drugi. – Co z nim robimy? Żaden pożytek z jego krwi.

– Ale może dostaniemy jakiś szmalec za niego.

– Ty, może to jest jakiś agent, wtedy byśmy na pewno coś dostali.

– To zgłoś do centrali, że mamy tu takiego nieboraka – rzekł ten trzymający powiekę. Puścił ją, klepnął Marisa w policzek i powiedział: – Masz, kurwa, szczęście, niemoto, że na nas trafiłeś. Inni by pewnie nawet nie zauważyli, żeś nie jest peicyckie ścierwo. Będziesz żył.

KREW PEICZYKA

Obudził się. Nie wiedział, ile czasu minęło. Otworzył oczy. "Mogę się ruszać..." – stwierdził. Wstał. Znajdował się w niewielkim, sterylnym, białym pomieszczeniu, w którym znajdowało się jedynie łóżko. Dostrzegł rozsuwane drzwi, ale nie odnalazł żadnego przycisku, który mógłby służyć do ich otworzenia. Uderzył w nie pięścią.

– Spokój – przerwał mu stanowczy głos, dochodzący zapewne z jakiegoś głośnika. Z jednej ze ścian wysunęła się szuflada. – Oto instrukcja: w środku znajduje się instrument do pobrania krwi. Proszę go wyjąć i użyć zgodnie z przeznaczeniem.

– Gdzie jestem? – zapytał Maris z wyuczonym spokojem.

– Nie zadawać pytań, wykonać instrukcję.

– A jeśli nie wykonam?

– Unicestwienie.

Wyjął elektroniczną strzykawkę, przyłożył do ramienia i nacisnął przycisk. W ciało wbiła się igła. Urządzenie pobrało krew.

– Dobrze – głos rozszedł się po pomieszczeniu. – Proszę odłożyć na miejsce.

– Gdzie jestem?

Szuflada wsunęła się i natychmiast obok wysunęła się druga, dwa razy większa.

– Instrukcja: posilić się.

– Pytałem, gdzie jestem – nie dawał za wygraną potomek.

– Nie zadawać pytań, wykonać instrukcję.

Wyciągnął z szuflady talerz, na którym znalazł żółtą papkę i kubek z gorącym napojem. Teraz uświadomił sobie, że jest bardzo głodny. Ostatni raz jadł w drodze do siczy: z Vir'tampo skonsumowali cztery ostatnie kawałki dobrze wyziębłych sar'taków, które przygotowała Moi'ra. "Moi'ra... moja kochana Moi'ra..."

Nagle drzwi rozsunęły się. Maris ujrzał przerażającego mężczyznę: pomarszczona twarz, czarne, pozbawione białek, okrutne oczy, zupełnie łyśa głowa i palce pozbawione paznokci. Odziany był w togę czarnego koloru, szyję okalał srebrny łańcuch, do którego przyczepiony był duży krzyż, na którym wyrzeźbiona w metalu postać symbolizowała mękę Jezusa Chrystusa.

– Piękne imię... – mężczyzna przemówił ochryplym, ciężkim głosem, ukazując metaliczne zęby. Wszedł do środka. Maris cofnął się pod ścianę.

– Słucham?

– Moi'ra.

"Skąd on wie, jak moja kochana..."

– Miłość jest doprawdy wspaniała. Ja też miałem kiedyś swoją kochaną, ale mnie zdradziła.

– Jest teraz z innym? – potomek sam nie wiedział, czemu zadał to pytanie.

– Jest teraz trupem – odpowiedział szorstko mężczyzna. – Ale to przykra historia. Twoja wydaje się weselsza. Chodź.

Wyszli z pomieszczenia i znaleźli się na holu, który był szeroki na pięć, może sześć metrów i wysoki na cztery. Z jednej strony korytarz kończył się ogromną szybą, z drugiej... "Wrota Mesjasza...". Udali się w kierunku okien.

"Co to za miejsce?" – zastanawiał się Maris.

– Można to nazwać pałacem – powiedział tajemniczy mężczyzna.

– Słucham? – zdziwił się potomek.

– Zastanawiałeś się, co to za miejsce. Taki pałacyk, można powiedzieć. Może nie wygląda imponująco, ale to i tak najokazalszy budynek na tej planecie.

Doszli do szyby. Maris przetarł oczy, nie wierzył w to, co widzi. Znajdowali się w wysokim budynku, z okien którego dostrzec można było doprawdy wszystko. Zobaczył kilkanaście stojących w rzędach pojazdów, które Peiczycy nazywali Mit'sa. Zobaczył ludzi i latające statki. W oddali ujrzał inne, mniejsze i większe, budynki. Miasto tętniło życiem. "Imponujące..."

– Zgadza się, panie... – zastanowił się – ...panie Maris, zgadza. Imponujące.

– Dowiem się wreszcie, co tu się dzieje? – spytał Maris.

– Ja chcę się tego dowiedzieć od ciebie, przyjacielu – głos rozchodził się po pustym holu w sposób monotonny i przeraźliwy.

– Ode mnie? – Maris odwrócił się zaskoczony.

– Co potomek Eldów robił wśród Peiczyków?

Maris pomyślał o Krucjacie, o Gildii, o błędach w locie i lądowaniu na mroźnej planecie.

– Czegoś tutaj nie rozumiem – łysy mężczyzna spojrział na wylatujący do pracy ogromny, czarny statek.

– Ja też – przytaknął potomek. Nie wiedział czemu, ale czuł się w miarę bezpieczny. Przeszywało go dziwne uczucie bliskości do człowieka, z którym rozmawiał. Na tyle pytań nie znał odpowiedzi.

– W którym roku zostałeś wysłany w kosmos?

"Skąd on o tym wszystkim wie?"

– Czy jesteś członkiem Gildii Religijnej?

– Pierwszy zadałem pytanie! – nieznajomy uniósł głos.

– Rozumiem, że jak odpowiem na twoje, ty odpowiesz na moje?

– Owszem.

– 4652 rok, kalendarza ziemskiego.

Mężczyzna oderwał wzrok od wyruszającego statku i spojrział zdziwiony na Marisa.

– Teraz ty. Czy je...

– Nie jestem – mężczyzna przerwał mu. – Gildia już dawno nie istnieje.

– Nie istnieje? Dawno?

– Potomku, potomku... Według kalendarza ziemskiego dzisiaj jest 26 kwietnia 9982 roku.

– To niemożliwe!

– A jednak. Widać błędy lotu, o których myślałeś były czymś więcej niż...

– Czarna dziura...

– Ja bym tego tak nie nazwał. Ale dzielą nas lata nauki.

– Rozumiem, że pochodzisz z Ziemi – sam już nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć.

– Można tak powiedzieć, chociaż urodziłem się lata świetlne od niej.

Nagle po drugiej stronie holu ciekła substancja zaskwierczała. W korytarzu pojawił się mężczyzna, wyglądający podobnie do tego, który rozmawiał z Marisem.

– Chodźmy.

Spotkali się mniej więcej na środku holu. Obaj mężczyźni spojrzeli na siebie. Kiwnęli głowami. Milczeli. Lawirowali oczami, spoglądali to na siebie, to na Marisa.

Ten przyglądał im się ze zdziwieniem.

– Farthin – mężczyzna, który dopiero wszedł, zwrócił się do potomka – przekazał mi, że pochodzisz z piątego tysiąclecia. Musisz wiedzieć, że do dnia dzisiejszego zdarzają się przypadki odnalezienia pierwszych potomków. Niestety, czasoprzestrzeń wciąż pozostaje tworem, którego nie udaje nam się oswoić. Jesteś tego ewidentnym przykładem.

Maris, mimo wspaniałego umysłu, nie potrafił odnaleźć sensu.

– Przykro mi, bracie – położył wychudzoną dłoń na ramieniu potomka. – Świat bardzo się zmienił od czasu, kiedy wypuścili cię na jego podbój w kapsule. Poczucie humoru jest ważne – ciągnął. – Z tym że to, co powiem, to nie dowcip. W moich żyłach płynie krew Eldów. Zarówno ja, jak i Farthin jesteśmy ich potomkami. Krew nie kłamie, a twoja tym bardziej. Kochana Gildia i jej wspaniała Krucjata. Żałosne.

– Lordzie – przemówił Farthin – proponuję go zabić. Do niczego nam się nie przyda.

"Śmierć... Tak! Nie mam już nic, chcę umrzeć. Moi'ra..!"

"Zamilcz!" – krzyknął w myśli Lord – "Ten potomek rozwiąże wszystkie nasze problemy z Peiczykami!" Farthin spuścił głowę.

– Opowiem ci, drogi Marisie, historię – Lord wziął potomka pod rękę i ruszyli w stronę okiennic. – Dawno temu Gildia stworzyła ludzi idealnych. Ich dzieci, edukowane, szkolone, rozwijane, miały odegrać główną rolę w programie Krucjata. Przez pierwsze siedemset lat wszystko było w porządku. Z dwudziestoosobowych grup wybierano jedną parę, którą wsadzano w kapsułę i puszczano w kosmos. Resztę uśmiercano. Dlaczego? Nie mieli dostatecznie dużo środków na budowę kapsuł. Po prostu wszystkich nie można było wysłać, a rada Gildii bała się ewentualnego przejęcia przez potomków władzy. W końcu byli ludźmi doskonałymi. Niestety, młodzi, doskonali osobnicy w roku 5235 dowiedzieli się o przeszłości. Wybuchł bunt. Zło jest leczone złem. To była przeraźliwa rzeź. Nasi bracia – Lord wyszczerzył metaliczne zęby – wyrżnęli całą stację, jak to ona się nazywała?

"Niezależna Stacja Badawcza..." – błyskawicznie pomyślał Maris.

– Tak. NSB – kontynuował łysy mężczyzna. – Ponieważ mózg każdego potomka był, no i jest – spojrzął na Farthina, ponownie pokazując zęby – doskonały, sprawy potoczyły się szybko. Organizacja – zawahał się. – Dzięki organizacji, dyscyplinie ruszyliśmy z impetem w przyszłość. Wynaleźliśmy rzeczy, o których ludziom mogło się tylko śnić. Ludzie stali się narzędziem, które wykorzystujemy do pracy. Dzisiaj nie ma we wszechświecie istot potężniejszych od nas, potomków Eldów. Owszem, niektóre wojny przegrywaliśmy. Jednak potem szybko dochodziliśmy do technologii, które unicestwiały wrogą rasę w mgnieniu oka.

– To wszystko w imię Jezusa Chrystusa, tak? – zapytał z ironią Maris.

– Bóg jest jeden i stworzył człowieka na swoje podobieństwo. To dlaczego, na jego miłość, na świecie mają istnieć istoty, które nie są do niego podobne? Kreatury, mutanty? To jest zwierzyzna.

– Wy za to jesteście do niego podobni.

– Lordzie, on nie wie najważniejszego – stwierdził Farthin.

– Ach, tak. Isa'Pei – machnął ręką, byli ponownie przy szybach. – W 6967 roku nasza flota zepuściła się w te, wówczas jeszcze nieznanne, rejony. Odkryto dwie planety, na których rozwinęło się życie. Na jednej, co się zwie Karrrtaku, istot myślących nie było. Na drugiej, czyli na tej, istoty myślące były i w dodatku ich cywilizacja rozwijała się całkiem nieźle. Jako potomek na pewno studiowałeś historię Ziemi, więc możesz sobie wyobrazić, że doszli gdzieś do XXII wieku. Wysłali nawet statek na Karrrtaku, chcieli ją skolonizować. Ale, ale...

– Pojawiliście się wy...

– Tak, na początku powitali nas jak bogów. Byliśmy kosmitami. Nazywali nas, w ich języku, Taraj'peiczkami, bo nie mieliśmy blizn na policzku, które u nich są rzeczą naturalną. Tak minęło kilka lat, gdy wreszcie nasi naukowcy odkryli, że jeden ze składników ich powietrza ma niezwykle właściwości. Na początku nie mieliśmy pojęcia co odkryliśmy, dopiero przypadek sprawił, że poznaliśmy moc, jaką Bóg nas obdarzył tworząc peiczkie ścierwo. Ich krew jest niezwykła, Marisie. Ich krew jest esencją naszego życia.

W Marisie wzbierała złość. Miał ochotę uderzyć swojego rozmówcę, który w ten sposób wyrażał się o ludziach, których poznał i których pokochał.

– Musieliśmy użyć różnych środków, aby móc z tej mocy korzystać – dalej mówił Farthin. – Najważniejsza była kontrola. Nie mogliśmy ich wszystkich zabić, musieliśmy uwięzić. W tej chwili mamy nad nimi pełną kontrolę. Nasi agenci żyją wraz z nimi i odpowiednio inwigilują. Nasze statki nazywają Mit'sa, to według nich coś okropnego i groźnego. Łapiemy ich jak króliki. Do tego...

– Dosyć! – krzyknął Maris – nie chcę już tego słuchać!

– Teraz posłuchasz – powiedział Lord. – Damy ci możliwość powrotu do twojej kochanej Moi'ry, o której wciąż myślisz i którą kochasz. Będziesz miał nasze słowo, że ani ona, ani żadna inna osoba, którą wskażesz, w granicach rozsądku oczywiście, nie zostanie przez nas wypompowana.

– Teraz pewnie powiesz o warunkach? – rzekł potomek.

– Racja – uśmiechnął się Lord. – Masz być ich Mas'Tarajem. Agenci poinformowali nas, że tak właśnie postrzega cię ich duchowy przywódca, niejaki Vol'kaar. Wszystko już zaplanowałem. Znam całe te brednie, te prorocтва Vol'masa, o mesjaszu, o wrogach. Chcą mieć boga? Będą mieli! Ciebie! Już to widzę!

– I tyle? – spytał Maris.

– Tyle – odpowiedział Lord.

– Jeszcze tylko musisz pamiętać – dorzucił Farthin – żeby nie kopolować z tym ścierwem. Wiem, wiem. Niektóre samice są ładne, ale okazało się, że klauzule, o których z pewnością pamiętasz nie są bezpodstawne.

– Farthin ma na myśli to, że ewentualne zapłodnienie może mieć tragiczne skutki. Mogą ci ulżyć swymi ustami, ale zrezygnuj z kopulacji. No więc?

"Hmm. Co tu zrobić?"

– Powiedzieć: tak! – z uśmiechem skinął Farthin.

"Powiedzieć tak." – pomyślał Maris i ujrzał na ustach Lorda przelotny uśmiech.

"Panowie, z tego, co zdążyłem zaobserwować, czytacie w moich myślach, Bóg wie jakim sposobem. Odpowiem wam, że całą tę propozycję mam w głębokim poważaniu" – przelotny uśmiech na ustach Lorda zamienił się w grymas złości – "ponadto uważam, że jesteście jedynym ścierwem jakie istnieje na świecie, bo..."

– Dość! – pisk Lorda zrównał się ze świstem, który ukłuł Marisa niczym igła i rzucił na ścianę. – Będziesz błagał o życie śmiertelniku – ton głosu był straszliwy.

Maris startł z policzka krew. Zacisnął pięść, zwinnym ruchem odbił się od ściany i z całej siły uderzył pierwszego, Farthina, w twarz. Trzy metaliczne zęby odbiły się od podłogi. Chlapnęła krew. Farthin musiał podeprzeć się ręką, aby nie upaść. Maris spojrział na jego twarz i zobaczył dokładnie cztery palce odbite na prawym policzku, tak jakby był ulepiony z plasteliny. Nagle ślady uderzenia zaczerwieńczyły się, potem zbledły i znikły.

Farthin wyprostował się.

– Pozwolisz, Lordzie? – zapytał kompana.

– Czyń powinność – odrzekł mu.

Farthin złapał za szyję potomka Eldów, podniósł do góry, jakby podnosił dziecko, i rzucił wzdłuż holu. Maris poturlał się. Farthin chciał iść w jego stronę, ale Lord zatrzymał go.

– A jednak krew zawodzi, nie jesteś żadnym potomkiem Eldów, bo nie myślisz jak potomek. Jesteś zwykłym, ludzkim ścierwem. Mogłeś być nieśmiertelny, a teraz umrzesz jak pies i nikt po tobie nie zapłacze – powiedział do Marisa.

Lord wyciągnął rękę, wyprostował ją. Przerażliwie krzyknął. Właściwie był to pisk, który słyszała tylko podświadomość Marisa. Umysł przepełnił się tym krzykiem i nie potrafił z nim walczyć. Niczym siekiera drewno, pisk rąbał po kolei każdą komórkę mózgu, wypełniając głowę krwią. Maris czuł ból tak przeraźliwy, tak osobliwy, że nie potrafił nawet krzyknąć. Złapał się za głowę. Twarz puchła. Oczy zaszczyły krwią.

"Vol'mas wiedział..." – przeszła go jeszcze ostatnia myśl – "...wszystko wiedział, proroctwa nie są ścisłe, ale są prawdziwe. Dziecko, które spłodziłem... Kir'ma... Nie!!!"

Poczuł najpierw ogromne ciepło, wypełniające całe ciało. Potem przez sekundę przeraźliwie zimno. Przypomniał sobie, jak pierwszy raz nabrał pejskiego powietrza do płuc. Jakież to było uczucie! Takie jak teraz. "Tu się myliłeś, o wielki Vol'masie, śmierć jest piękna..." I czaszka eksplodowała, rozrzucając skrywane wnętrzności po ścianie i podłodze. Ciało, pozbawione głowy, runęło na ziemię.

Maris, potomek Eldów, wielki Mas'Taraj, nie żył.

– Co o tym myślisz? – Lord popatrzył na Farthina.

– Piękna robota – odparł ten, drapiąc zagojony policzek.

– Nie o tym.

– O Kir'mie?

Lord przytaknął głową.

– Pożyjemy, zobaczymy – stwierdził Farthin.

– Ale tę Moi'rę, na wszelki wypadek, trzeba by odnaleźć i spróbować...

– Unicestwimy – przerwał mu.

– Kaar, on odszedł.

- Bądź dzielna. Twój wielki pradziad byłby dumny. Będziesz matką mesjasza, którego zapowiedział.
- Boję się.
- Nie bój.
- Boję się Kir'my.
- Musimy się ukryć. Ty, ja i twój brat.

KIR'MA

– Moi'vor – krzyknął Kaar – daj jej wody! No, dalej, jeszcze trochę! Już widzę, jest. Mocniej, mocniej! Jest... – sapanie spoczonej Moi'ry zagłuszył krzyk nowonarodzonego dziecka. – Na duchy Vol'sai...

– Co się stało?! – kobieta krzyknęła rozpaczliwie.

Moi'vor stał jak wryty z kubkiem wody i oczami wlepionymi w niemowlę.

– Daj mi go – nie był to już krzyk, ale przeraźliwa prośba.

– Ją... To jest...

– Moje dziecko... – szepnęła jeszcze.

Vol'kaar uniósł noworodka. Mimo że poród dopiero się odbył, dziecko już patrzyło groźnie czarnymi, pozbawionymi białek oczyma. Główka była biała i całkiem łysa. Wzdłuż skroni, po szyję, twarzyczkę zdobiła mocno zarysowana blizna. Dziecko skierowało paluszek do ust. Zamiast małych paznokci, czerwone ślady. Otworzyło usta. Metaliczne, malutkie ząbki błysnęły w świetle pochodni, rozstawionych po komnacie.

– Oto jest Kir'ma ludu Isa'Pei.

K O N I E C

SŁOWNIK WAŻNIEJSZYCH TERMINÓW:

Bircha lampy – lampy wykorzystujące właściwości fizyczne lasera;

Elde – patrz: Ludzie Doskonali;

Fuska łóżka – nadmuchiwane programowo łóżka grawitacyjne, które unosiły się w powietrzu i dopasowywały do kształtów ciała;

Gildia Religijna – organizacja założona w 2981 roku, Kalendarza Ziemi, skupiająca hierarchie religijne wyznające jednego Boga (w roku 3292, KZ, organizacja skupiała już chrześcijan, islamistów, a dwanaście lat później buddystów);

Isa'Pei – jedna z planet układu Kareza, odkryta w 6967 roku, KZ;

KZ – Kalendarz Ziemi;

Krucjata – program Gildii Religijnej, mający na celu kolonizację wszechświata;

Ludzie Doskonali – niewiele jest informacji na temat genetycznych badań Gildii Religijnej, gdyż były objęte ścisłą tajemnicą, a po buncie potomków Eldów, w roku 5235, KZ, wszelkie zapiski znikły bez śladu;

Marsjański ufoludek – gra podobna do berka, z tym że role są odwrócone: jedna osoba jest łapaną przez dwie, trzy lub cztery inne osoby, ufoludkiem staje się ten, który dotknie łapanego ufoludka;

NSB – Niezależna Stacja Badawcza – stacja badawcza wybudowana na Księżycu w celach badawczych, po wojnie z początku czwartego tysiąclecia, KZ, opanowana przez Gildię Religijną, późniejsze centrum programu Krucjata;

Ruch Ateistyczny – organizacja założona w 2982 roku, Kalendarza Ziemi, jako przeciwwaga Gildii Religijnej (w 3008, KZ, uchwałą Zgromadzenia Głównego w poczet Ruchu zostały przyjęte niektóre, największe sekty religijne);

Wrota Mesjasza – drzwi reagujące na DNA, w późniejszych okresach, udoskonalone, były wykorzystywane przez zmutowanych potomków Eldów;

TERMINOLOGIA ISA'PEI:

Bractwo Vol'sai – bractwo religijnych przywódców Isa'Pei, zbierające się raz na pięć cykli Roh'kadi;

Gon'rati – broń takar'daja – każda oznaczona jest symbolem przynależności, według niektórych źródeł gon'rati przejmuje ducha wojownika;

Got'he – obca mowa, przekazywana przez kolejnych Vol'sai;

Isa'mai – Wielka Woda – największa rzeka planety Isa'pei;

Kir'ma – według Proroctwa Vol'masa, mesjasz ludu Isa'Pei, istota nadzwyczajna, która wyzwoli plemiona pejskie;

Kor'sa Kir'fa – Góry Śmierci i Życia, zwane też Górami Vol'tena, największe pasmo górskie planety Isa'Pei, najwyższy szczyt: Por'sai, wysokość: około 6500 metrów;

Mas'Taraj – (Mas – Wielki, Taraj – Skaza) – według Proroctwa Vol'masa, vor'gur bez skazy, którego działania poprzedzą nadejście Kir'my;

Mit'sa – śmiertelny wróg Isa'Pei, ogromne pojazdy używane do polowania na Pejczyków;

Pom'tensa – pożywienie roślinne – korzenne przysmaki z Var'tasarów;

Proroctwa Vol'masa – słynne przepowiednie pejskiego kapłana, który ujrzał w snach Mas'Taraja i Kir'mę;

Roh'kadi – cykl ruchu Rot'hu;

Rot'hu – (Światło na niebie) – gwiazda układu Kareza;

Sar'taki – rybo podobne stworzenia, pływające w Isa'Pei i w niektórych strumykach górskich;

Soze'tepai – określenie uczucia miłości;

Takar'daje – specjalnie szkolony wojownik pejski, wyznaje Kodeks Takar'dajów, tj. zbiór przykazań, nakazów i zakazów;

Tar Mit'sa – (Przyjaciel Mit'sa) – określenie agentów;

Tar'maha przełęcz – górską przełęcz, odkryta przez takar'daje Tar'maha, według którego jest to jedyna droga do wolności, znajdującej się po drugiej stronie gór Vol'tena;

Tis'tava – stan pejskiej kobiety, oczekującej dziecka;

Var'tasar – ogromne drzewa, dające roślinne pożywienie, z racji ich ważnej roli, są omijane przez Mit'sa; także specjalne schrony dla ludu Isa'Pei;

Vol'sai – kapłani religijni, duchowi przywódcy plemion pejskich, każde plemię miało własnego kapłana, kapłani tworzyli Bractwo Vol'sai;

RELACJA ZORA O WPŁYWIE KRWI PEJCZYKÓW NA POTOMKA ELDÓW

Ścisłe tajne

Gdy po raz pierwszy napiłem się krwi z pejskiego osobnika, przeszył mnie ogromny ból i niespotykane dotąd uczucie strachu. Wydawało mi się, że ściany się ruszają, światło nieustannie pulsuje, a dźwięki wypowiedzianych do mnie słów kłują każdą komórkę umysłu. Potem nastąpiła ciemność. Nie widziałem, nie słyszałem nic. Nie czułem bólu. Każdy mięsień i nerw znalazł się poza kontrolą mego umysłu. Sam umysł jednak pracował doskonale, a z każdą godziną moje myśli stawały się coraz wyraźniejsze i coraz głębiej umysłu mogłem sięgać. Kazałem poić się wyłącznie krwią pejczyków.

Z relacji doktorów wynika, że przez pierwsze tygodnie wypilem około stu litrów. Być może jest to granica mutacji. Włosy zaczęły mi wypadać z każdego miejsca ciała. Poczulem wzmożony ból w czaszce, potem w oczach, uszach i klatce piersiowej. Gdy odzyskałem wzrok i słuch, ujrzałem w lustrze kreaturę. Z idealnych, eldowskich kształtów nie pozostał ślad. Białka oczu przybrały kolor czerni, twarz poszarpały zmarszczki, a zęby zmieniły się w metal. Doktorzy otrzymali wówczas rozkaz od Jej Ekscelencji uśmiercenia mnie. Ja jednak znałem już pierwsze efekty mutacji. Potrafiłem wniknąć w umysł Jej Ekscelencji i przekonać ją o zasadności eksperymentów.

Po kolejnych stu litrach krwi, po około trzech miesiącach eksperymentu, byłem już w pełni zmutowaną jednostką.

Jednostką nieśmiertelną, śmiertelnie niebezpieczną.

Zor, 6972 rok, KZ